N. 29. WARSZAWA d. 9 (21) Lipca 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

KORESPONDENCJA
z
WIEDNIA.

(Ach! jak piękna pogoda!—Społeczeństwo wiedeńskie na przechadzce—Pozory mylą—Panie i służące—Teatra—Nowe sztuki—Procesja Bożego ciała—Wiadomości literackie z Krakowa—Akademia umiejętności—Wystawy obrazów—Nowy przykład gamoniostwa: Wiedeń a Pacanów—Miłość dla pieniędzy—Kobieta w obec prawa i opinii publicznéj—Dr. Letteris).

Wszystkie nudne wizyty zaczynają się rozmową o pogodzie, ale z korespondencjami rzecz się ma zupełnie inaczéj; nieraz już przekonałem się, że te które zaczynają się od pogody, jakoś najlepiéj przypadają czytelnikom do smaku. Idźmy więc ubitemi tory. W Wiedniu pogoda jest tak piękna, że gdybyśmy tu Liwingstona, Spellego albo Heuglina oprowadzali z zawiązanemi oczami po Ringstrasse, byliby pewni iż się znajdują nad brzegami jeziora Ukereve. Ale jest tak dopiero od niedawna. Jak w całéj Europie, tak i w grodzie cesarskim „an der schönen blauen Donau“ całą wiosnę panowały dokuczliwe słoty i zimna, i to tak jakoś bez ładu i składu, tak zawzięcie a groźnie, iż słusznie mogła była powstać obawa, czy ów odwieczny porządek w naturze, któryśmy od stworzenia świata podziwiali, nie uległ zniszczeniu na zawsze. Dziwne bo działy się rzeczy. Płeć brzydka, z książkami od pacierza pod pachą spieszy do kościoła,—chmury płaczą; płeć piękna na dzielnych rumakach dąży na wyścigi,—chmury płaczą. Jestże w tem loika? Co było przyczyną téj płaczliwości chmur; różni różnie tłumaczą. W końcu przecież zlitowało się niebo, a słońce co oddawna uśmiechało się tylko jak stara kokietka, spuściło promienie swoje na sprawiedliwych i niesprawiedliwych, i przyroda zajaśniała blaskiem wiosennym, niestety po to tylko, aby wkrótce dać się wypalić płomiennemu żarowi spieki. Rozkoszna zieleń łąk i gajów wabi Wiedeńczyków w pole. Gdy nadejdzie niedziela, tłumy wiełotysiączne snują się wszystkiemi drogami do Schönbrunnu, Dornbachu, a w Praterze zbierają się gromady, przypominające wędrówki ludów. Główną aleją toczy się powóz za powozem, piesi zalegają wszystkie chodniki, obsiadają wszystkie miejsca w kawiarniach i piwiarniach. Trzy muzyki wojskowe przygrywają nieustannie, bynajmniéj sobie nieprzeszkadzając. Tłumy chciwe widowisk spieszą do Wurstel-pratelu. Wszędzie jadło roznoszą zwłaszcza salami. Sprzedający je „Włosi“ zachwalają swój towar, rodowitym językiem, nieco z czeska.

Zwróćmy się do głównéj alei. Tutaj krzyżują się powozy wysokiéj arystokracji, z lekkiemi a wygodnemi kolebkami dam, należących do demimondu, księżniczek „Gerolsteinu“ i „Trapezuntu.“ Gentlemanie wiedeńscy spieszą konno za niemi, lecz oto nawija się inna piękność i wszyscy ku niéj zwracają spojrzenia. Ciągle ta sama powtarza się scena. Świeżo przyjeżdżający witają się z lekka, lub z niechęcią odwracają się od siebie. Między innemi pojawia się także w Praterze elegancki powóz dworski, który już od lat kilku zwraca na siebie powszechną uwagę. Jest on szafirowo polakierowany, białym atłasem wybity, a w nim siedzi piękność, elegancka ale uderzająco ubrana. Interesującą jéj twarzyczkę otaczają czarne loki, a palce igrają niedbale z wachlarzem lub równianką kwiatów. Dama siedzi zawsze sama. Kto ona jest, jakie w świecie zajmuje stanowisko, czyj ten ekwipaż? Nadaremnie byś się dowiadywał, bo woźnica i lokaj milczą jak zaklęci, a pogłoskom nie zawsze można wierzyć.

Słońce świeci pogodnie, w Praterze na Freudenau wyścigi konne. Tysiące widzów otaczają arenę. W tem nagle zachmurza się, deszcz ulewny spędza widzów, konie i jeźdzców. Dwaj eleganci ubrani podług najświeższéj mody, z bokobrodami jakby lordowie angielscy, uciekając przed nawałnicą brodzą po kostki w wodzie. Tuż przed nimi zjawia się powóz błękitny; dama wychyla się, zaprasza ich do pojazdu i oświadcza, że ich odwiezie dokąd zechcą. Wsiedli bez namysłu i jadą. Deszcz, pogoda, wyścigi, wszystko to dostarczyło obfitego do rozmowy materjału. Na Ringstrasse panowie podziękowali damie za niezwykły dowód dobroci, i pożegnawszy ją wysiedli.

W kilka dni późniéj ten sam ekwipaż jechał zwolna przez Ringstrasse. Blada dama wyjrzała z okna i mechanicznie spojrzała ku jednéj z kawiarni. Na progu stało dwóch garsonów, trzymając w ręku serwety godło swojéj godności, i otrzepywali sobie niemi pył z obuwia. Dama spojrzała i z stłumionem przerażeniem cofnęła się nagle w głąb pojazdu.

W téj chwili ganimedesi przyskakują do jednego z gości kawiarnianych i pokazując odjeżdżający pojazd, powiadają:

— Patrz pan, oto księżna X. która niedawno przywiozła nas z Prateru.

Gość uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Ona taka księżna, rzekł szyderczo, jak wy baronowie za których was wzięła.

Tak to pozory łudzą.

W Praterze zbierają się zawsze niezmierne tłumy ludzi. Wartoby policzyć, ile ich tam być może przez jedno popołudnie, ale to prawdziwe niepodobieństwo. Ilość spotrzebowanego piwa nie może służyć za podstawę do obliczenia, bo chociaż wszyscy Niemcy jednakowe mają zawsze pragnienie, to przecież nie wszyscy wypijają jednakową ilość dzbanów. Aby dać niejakie o rzeczy wyobrażenie, powiem że w drugi dzień Zielonych świąt, zbłąkało się w Praterze pięćdziesiąt czworo dzieci. Ileż więc musiało tam

być rodziu pilnujących swoich dzieci, ile osób pojedynczych? Dzieci zbłąkane odprowadzono do policji, zkąd tego samego dnia lub nazajutrz poodbierali je rodzice. Myślicie może iż dzieci te zbłąkały się z winy służących, z któremi je posłano? Gdzież tam! któżby dzieci ze służącemi posyłał do Prateru... Tutaj nie ma służących, na które można by się spuścić. W ogóle wszystkie panie w Wiedniu bardzo użalają się na brak dobrych służących, służące zaś twierdzą że dobre służby nader są rzadkie. Jak w istocie rzeczy się mają, trudno dociec, ale bezwątpienia i tu jak w innych podobnych kwestjach, słuszność jest po obu stronach.

W Wiedniu każda pani żąda, aby służąca tytułowała ją „Gnädige Frau" i rada słyszy, gdy jéj służąca co minuta przypomina ten tytuł. Ale „gnädige" powinnaby się nazywać ta, co doprawdy łaski rozdaje, a że płaci służącéj 6 do 8 złr. miesięcznie, daje jeść i pościel, czy to łaska? Ale to jeszcze mniejsza. W niższych zwłaszcza warstwach ludności, służąca nie może inaczéj zbliżyć się do pani, tylko całując ją w rękę. „Gnädige Frau" któréj cały majątek rzadko więcéj nad 5 guldenów wynosi, wstaje. Pierwsze ucałowanie ręki. Następuje śniadanie; służąca dostaje dzbanek fusów z mlekiem wodą rozpuszczonem. Drugie ucałowanie ręki. Gnädige idzie na targ; słuszna rzecz aby była po raz trzeci pocałowaną w rękę. Powraca z targu, czwarte ucałowanie ręki — i tak daléj i daléj, piąte, szóste, siódme, aż nastąpi wreszcie to, po którem dziewczyna kładzie się na spoczynek, aby wstawszy nazajutrz, znowu zacząć da capo całować. Obliczono, że każda całuje swoją panią w rękę najmniéj 20 do 30 razy dziennie. Dziwne upodobanie, bo przecież nie wszystkie służące mają usta podobne do róży. Dodajmy do tego: ustawiczne łajanie, dzieci nieznośne, którym trzeba mówić panie i panno, podczas gdy im wolno używać do służącéj najbrzydszych wyrazów i pokazywać język ile razy im się podoba, a nie będziemy się dziwić, dla czego służąca narzeka, gdy jéj przyjdzie dźwigać wodę na czwarte lub piąte piętro.

Ale i służące nie zasługują na bezwzględne pochwały. Oszukiwanie swoich państwa przy każdéj sposobności, jest najzwyczajniejszym wszystkich służących przymiotem. Wiele ich przybywa z prowincji, z powziętym z góry zamiarem zrobienia pieniędzy wszystkiemi środkami jakich można użyć.

W okolicach, w których rekrutują się służące dla Wiednia, cuda o tem opowiadają, jak to łatwo można w Wiedniu przyjść do pieniędzy. Ojciec rodziny słyszy o córce swego sąsiada, która w Wiedniu służy, że co miesiąc przysyła do wsi pieniądze, kawę, cukier, i mówi do swoich córek: patrzcie, to jest dobre dziecko. Córka idzie tedy do Wiednia i chce być równie dobrą, ale widzi że zasługi niewystarczają na to. W sklepiku albo u studni usłyszy, że trzeba składać koszykowe, albo poszukać sobie bogatego kochanka. Przykładu i zachęty nie brak, a więc wszystko idzie jak z płatka.

Ciepła pora roku sprowadza do Wiednia niezmierne tłumy przejezdnych, udających się tędy do wód, lub w piękniejsze górskie okolice na świeże powietrze. Wiedeń jest jakoby punktem centralnym, którego nikt nie omija, kto się tylko w dalszą wybiera podróż, a dla wielu stał się on tem, czem Mekka dla mahometanów. Szlachta galicyjska, mieszczanin lwowski, kupiec, urzędnik, wszyscy uważają Wiedeń jakby drugi Rzym, jakby miejsce święte, w którem koniecznie choć raz w życiu być potrzeba. Z tego powodu liczne źródła do rozrywki, zbiory, teatra tutejsze przepełnione bywają bardzo często samymi cudzoziemcami. Obecnie pomimo ciepłéj pory roku, i chociaż czas sposobny do przechadzki wywabia niezliczone tłumy w pole i do ogrodów, w teatrach zawsze wszystkie miejsca są zajęte. W operze nadwornéj, od dwóch tygodni aż do końca lipca zamkniętéj z powodu reparacji, grano w ostatnim czasie po raz pierwszy operę Ryszarda Wagnera, *Rienzi ostatni trybun ludu.* Operę tę napisał Wagner jeszcze przed trzydziestu laty, i podobno już się do niéj nie przyznaje. Dla czego w Wiedniu dopiero teraz uznano ją godną przedstawienia? trudno pojąć, bo prawie po wszystkich innych operach europejskich, już ją usunięto z repertuaru. Jest w niéj wiele efektów, scen wojennych, zdrad i t. d. ale też nie odznacza się niczem więcéj. Tekst napisał sam Wagner. Rzecz dzieje się w Rzymie. Rienzi ma siostrę, którą dwaj rozpasani patrycjusze chcą wykraść w nocy. Syn jednego z nich Adriano, kocha się w przecudnéj dziewicy, przybiega więc dla jéj uratowania, a hałas ztąd powstały sprowadza tłumy ludu, kardynała i Rienzego. Lud oburzony wszczyna bunt przeciwko wszechwładztwu patrycjuszów, Rienzi staje na jego czele, a kościół wspiera go skutecznie. Rienzi odnosi zwycięztwo nad patrycjuszami, ale ze zwyciężonymi obchodzi się łagodnie, a to ośmiela patrycjuszów do nowéj walki. Rienzi znowu zwycięża, ale w tem lud zmienny przestaje go ubóstwiać. Pomiędzy dotychczasowymi jego stronnikami i towarzyszami broni, zawiązuje się spisek na jego życie. Adriano, który dotąd był w obozie ludu, postanawia pomścić się na Rienzim za ojca swego dowodzącego patrycjuszami, aby tym sposobem odwrócić od swojéj głowy przekleństwo, które ojciec rzucił na niego. I kościół odpycha od siebie Rienzego. Opuszczony przez wszystkich trybun ludu, chroni się wraz z siostrą, którą Adriano nadaremnie uratować usiłuje, do Kapitolu. Lud podpala kapitol, a Rienzi i jego siostra giną w płomieniach. Na pierwszem przedstawieniu téj opery artyści p. Labatt (Rienzi) i pani Rabatinsky jego siostra, skutkiem nieostrożności robotników i dekoratów o mało co nie zginęli w gruzach i płomieniach kapitolu. Pani R. doznała nawet tak silnego uderzenia w głowę, iż obawiano się czy mózg jéj nie został nadwerężony. Obecnie jest już zdrową.

(d. c. n.)

KRAJOWCY

I ZARZĄD NA WYSPACH OCEANJI.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

(Dokończenie.)

Missjonarze, spełniają zapewne najzacniejsze i najpożyteczniejsze posłannictwo, daj im Boże jaknajlepsze powodzenie w zaszczytnem dziele; lecz zachodzi pytanie czy porządek, jaki przyjęli w przeprowadzaniu tego dzieła, właściwym jest? Zapominają oni, zdaje się, w części, że religja nie da się narzucić i zaszczepić na dobre czy to łagodną perswazją czy gwałtem, że przy wszelkich znamionach zewnętrznych chrześcijaństwa, poganin pozostanie poganinem, jeśli się w nim inne warunki nie zmienią. Religja kształci się i dojrzewa postępowo, równie jak wszelkie inne czynniki cywilizacyjne; co większa, religja jest jakoby wykwitem całego życia i owocem całéj umysłowéj pracy narodu. Grecy starożytni, pomimo grubego pogaństwa w jakiem pierwiastkowo pozostawali, sami przez się otrząsnęli się z dziwactw politeistycznych i przyszli do pojęcia jedyno-bóstwa wprzód jeszcze nim je pod pieczęcią i obowiązkiem sumienia wpoili im apostołowie Chrystusa, który uczynili to nawet bez żadnego trudu, gdyż znaleźli już grunt samodzielnie do tego przygotowany. Jeżeli religija, ta arka sumienia, jest ostatnim wyrazem kształcenia ducha, toć missyjonarze dlatego może tak mało skutecznie prowadzą dzieło swe między ludami dzikiemi, że zaczynają je od końca. Gdyby naprzykład zaczęli od tego, ażeby te dzikie krakania i poświsty krajowców które stanowią ich mowę, uchwycić w alfabet, wynaleźć dlań odpowiednie znaki piśmienne, założyć drukarnię, przygotować książkę, to byłoby punktem wyjścia do założenia szkoły. Szkoła nauczyłaby stopniowo zapatrywać się na naturę, na stosunki ludzkie, na instytucje; dzieje narodów ucywilizowanych dałyby wyobrażenie o prawdziwéj kulturze, zabobon spłonąłby w ogniu oświaty i wtedy pojęcia religii najdoskonalszéj nie kończyłyby się na skórze ale przechodziłyby łatwiéj do serca i mózgu. Zdaje się że celem missyi dzisiejszych powinnoby być przygotowanie tego pół-człowieka, pół-zwierza, do tego ażeby został człowiekiem naprzód, a będąc nim w pewnym stopniu, sam zrozumiał nikczemność i głupotę swego kultu, strząsnął go jak z drzewa zbutwiały liść, a duszę otworzył na przyjęcie wzniosłych zasad religii opartéj na miłości bliźniego. Po dokonaniu dzieła nauczyciela, missjonarzowi łatwiéj byłoby spełnić dzieło wyznawcy pewnéj religii, i to byłoby wtedy niewzruszonem, płodnem. Jakąż podstawę missyjonarz może nadać swemu nauczaniu religijnemu, kiedy neofita nie ma go w sobie oprzeć zgoła na niczem? Dosyć kilku lat oddalenia, dosyć jednego bojowego okrzyku współplemienników, jednego serdecznego odezwania się nieszczęśliwionych braci, ażeby skruszyć całą tę budowę jak skorupę od pustego jajka: — najlepszy dowód tego był właśnie w ostatem powstaniu Maorysów, a w przykłady takie obfitują całe dzieje osad i missji od początku do końcu. Jest to nic innego tylko czysta chimera, ażeby zmysłowemu, gorącemu, zwierzęcemu murzynowi albo czerwonoskóremu wbić w mózg i wpoić w serce naukę któréj żywiołem miłość, wzajemne przebaczanie uraz, rezygnacja, wstrzemięźliwość, abnegacja!... W tem to podobno leży tajemnica tak długich i tak upartych niepowodzeń missyi. Gdzież to są owoce wiekowych starań, poświęceń, krwi przez missyjonarzy rozlanéj?

Missyjonarze zanadto są jednostronni, zawiele ponoszą trudów w celu zdobycia królestwa niebieskiego dla zbłąkanych owieczek; zapominają że droga doń prowadzi przez ziemię, a ten kandydat do królestwa niebieskiego, ma najgorsze warunki w królestwie ziemskiém. Skuteczniéj podobno postępują przyjaciele i przyjaciołki ludzkości w Indostanie, zakładając towarzystwa w celu rozszerzania oświaty między ciemnemi klassami wsi i miast, tworząc szkoły i szkółki bez żadnych insynuacji religijnych, uszlachetniając tym sposobem duszę, która i sama potrafi późniéj zrobić wybór, zwłaszcza gdy zdarzy się dzielny missjonarz umiejący ją w tym wyborze pokierować. Missjonarz pracować może skutecznie na tak tylko przygotowanym materjale...

Gdyby tak postępowano między dzikiemi i dopro-

wadzono ich przynajmniéj do stanu kultury, jaką mają ciemni mieszkańce równin Azyi środkowéj, wtedy, z pomocą książki, szkoły, gazety, możnaby coś przedsięwziąść i w sprawie czysto religijnéj, inaczéj wszystko to są budowy, które lada wiatr rozwieje.

Otóż, powiadają nam — nauczania religijne wytępiły w Australii ludożerstwo. Jako żywo nieprawda. Stało się to, wprawdzie przez wpływ kultury europejskiéj, ale nie skutkiem bezpośredniego i wyłącznego oddziaływania missyi. Przyczyna tego jest przeważnie natury ekonomicznéj. My, Europejczycy, nie jesteśmy przecież ludożercami, przynajmniéj w téj bezpośredniéj a brutalnéj formie, w jakiéj zwyczaj ten objawia się u dzikich wyspiarzy oceanu Spokojnego: mamy na to formę delikatniejszą, nie obciążającą żołądka, ale tylko sumienie. I u nas jednakże bywają epizody w których praktyka ta występuje z całą potwornością najbrutalniejszéj formy.

Przypomnijmy sobie dzieje oblężeń i idącego za niemi głodu, a okoliczność ta objaśni nam źródło ludożerstwa. Dzicy, jak wiadomo, nie pracują, nie trudnią się przemysłem rolnym, nie sieją ani orzą i są tedy jako to ptastwo, które dla wyżywienia się przychodzi do gotowego produktu wyrobionego w pracowni natury. Produkt ten częstokroć nie wystarcza, zwłaszcza przy wzmagającéj się ludności jakiegoś pokolenia, polowanie nie dopisze, rybołówstwo zawiedzie, owoce ziemne nie obrodzą, ale sąsiednie pokolenie ma tego większy dostatek, więc głód znajduje sobie do nich drogę, ztąd wojna, która na placu zaraz zostawia posiłek zgłodniałemu a ten w rodzaju jego nigdy nie był wybrednym.

Głód i niechęć lub nieumiejętność mozolnego wynajdywania sobie żywności, bez obrażania uczuć ludzkich, były najprawdopodobniejszem źródłem ludożerstwa, jak wszędzie tak i u Maorisów, a przez częstszą praktykę wynik potrzeby zamienił się w obyczaj i zrósł niejako z naturą. Ale od czasu jak na Nowéj-Zelandii osadnicy zaprowadzili chów bydła rogatego i nierogatego, tak że i dzicy nawet przyszli do jego posiadania a utrzymać je mogli bez kosztu wśród bujnych pastwisk, to i pocóż im było narażać się na niebezpieczeństwa wojenne dla zaspokojenia mięsożernego instynktu ciałem ludzkiem, kiedy daleko łatwiejszemi środkami mogli to uskutecznić w tabunach i stadach. Zmiana taka jest oczywiście ważnym krokiem cywilizacyjnym, ale cel ten osiągnąć się dał bez zmiany wyobrażeń religijnych. Czerwonoskórzy Amerykańscy nie są ludożercami, zabijają wprawdzie bez miłosierdzia swych nieprzyjaciół, mianowicie białych, ale to z przyjemności,z rozkoszy zemsty za najście ich ziem; zabiwszy okrawają im skórę na czaszkach i czupryny jako trofee zawieszają u swych wigwamów. Oto całe ich nasycenie, ale zobaczylibyśmy czyby poprzestali na tem, gdyby im zabrakło bawołów i zwierzyny leśnéj.

Godną uwagi jest teorja jaką autorowie ostatniego dzieła o Nowéj-Zelandji tłumaczą powstanie ludożerstwa u Maorysów, nadając temu obyczajowi także ekonomiczny początek. Wiadoma rzecz iż w początkach bieżącego stulecia, po raz pierwszy odkryto tam szczątki zaginionego a olbrzymiego ptaka z rodzaju strusia, w języku Maorysów zowiącego się *Moa*, który przy wzroście dochodzącym czterech metrów, znacznie nawet strusia afrykańskiego przerastał. Poszukiwania wykazały że ptak ten z którym dawniejsi Maorysowie ciężkie staczać musieli walki, służył za żywność temu ludowi, a od lat blizko dwustu został wytępionym. W tym też akurat-nie czasie wywiązało się i ludożerstwo u mieszkańców Nowéj-Zelandji. Na poparcie téj teorji przychodzi zestawienie tych dwóch faktów, że utrata wielkiéj zwierzyny dającéj dostateczne pożywienie mieszkańcom, i rzucenie się ich do ludożertwa, przychodzi właśnie w chwili kiedy pierwszy raz czy to dzicy, czy Europejczycy przez burzę wyrzuceni zostali na puste wybrzeże wyspy, — i tym sposobem stali się pastwą zgłodniałych krajowców. Bliższe szczegóły nie są wiadome, ale nietrudno je sobie wytłomaczyć.

Jaka może być przyszłość krajowców Nowéj-Zelandji, w obec rozwijającego się osadnictwa europejskiego na oceanie Spokojnym pod protekcją Anglii? Oczywiście nie inna jak innych plemion podobnych, którym Europa pierwsza złożyła wizytę. W téj sprawie rozstrzyga sama natura, cóż dopiero jeżeli jeszcze sztuka przyjdzie jéj w pomoc? Jak jelenie przed wilkami, tak plemię niższe rodem i wykształceniem ustąpić musi mocniejszemu. Widzieliśmy w dziejach stosunek nieco odwrotny: w wiekach średnich na Europę zlewały się hordy przerażające liczbą i grozą, prowadzone często przez utalentowanych przywódców, udało im się zburzyć odwieczne państwa i trony, [sholdować milijonowe ludności... a gdzież to są dzisiaj ci pierwotni zdobywce, gdzie Hunnowie, Herule i Wandale, gdzie potężne państwo Timura? Po chwilowem wstrząśnieniu, trwającem kilka wieków, albo nad wszelkim pierwiastkiem napływowym zapanowała miejscowa krew szlachetniejsza i wydobyła się na powierzchnię językiem, obyczajem, instytucyjami, religją; albo nie mogąc podołać liczbie pozostawiła ją na zdobytem miejscu, ale w swéj służbie: dotąd wprawdzie jeszcze nie wszędzie „zakończony ten etnologiczny rachunek, lecz nie do innego zmierza on końca.

Cóż tedy mówić, jeżeli najazd odbywa się we wprost odwrotnych warunkach, jeżeli napływ pierwiastku silniejszego krwią i wiedzą, postępowo się wzmaga, jak w Australii, a słaby element miejscowy szczupleje liczebnie?... Mogłoby oczywiście prawo zabezpieczyć istnienie jego, a nawet zrównać go, tak jak to obecnie oczyniło pod względem Negrów w Stanach Zjednoczonych; lecz istnienie takie, jakkolwiek jedyne możliwe przy najszczęśliwszych warunkach, jest tylko przeszczepieniem rośliny na łodygę innego drzewa; ona się przyjmie i zapłodni, lecz brak jéj własnego gruntu i korzenia. Narody i społeczeństwa dopóty mogą być samodzielne, dopóki warunki istnienia swego zawdzięczają samym soki i wszelki postęp czerpią z umysłu własnego, a przynajmniéj mają tyle żywotności wewnętrznéj, że obce przyswojenia w sobie przetrawić i na własne sobie przerobić zdołają. To w żaden sposób nie może mieć miejsca w stosunku Europejczyków z krajowcami Australijskiemi, tu wszelka samodzielność ostatnich zginąć musi w sąsiedztwie z tak potężnym współzawodnikiem terytoryjalnym. Z drugiéj strony, Maorysowie różnią się wielce od czerwonoskórych amerykańskich, i to w kapitalnym punkcie. Nie są oni tak bojowi, fizycznie dzielni, rycerscy, jak tamci, nie mają tego elementu dziarskości; ale też i nie odznaczają się tak absolutnym wstrętem do pracy rolnéj i przemysłowéj. jak tamci. Ten element swobody i dzielności fizycznéj zgubnym jest dla Indjan amerykańskich o tyle, że utrzymuje ich, fantazję w jakiéjś bohaterskiéj atmosferze, obudzając w nich pogardę do pracy, w walce z Anglo-saksonami naraża ich na zupełne wytępienie, tamując drogę do wejścia w społeczny i obywatelski związek, nakształt przesiedleńców afrykańskich, z plemieniem, które zawładnęło ich ziemiami. Pomiędzy czerwonoskórym i białym niema miru, są tylko układy, które prędzéj czy później zerwą się przez kulturę i koleje żelazne, i nie ulega najmniejszéj wątpliwości że wtedy większość Indyjan legnie z tomahawkiem w ręku, a reszta niedobitków, do pracy niezdolna, przymusowo w ogół ludności wcielona, rozpłynie się w niéj jak kropla krwi w jeziorze, tak jak się to już stało w wielu miejscach Ameryki południowéj, gdzie garstka Indjan zespolona z plemieniem panującem, nie mogąc zrównać w pochodzie pracy i przemysłu nawet tym leniwym i ospałym Hiszpanom, niknie skutkiem braku tchu i wysilenia; a cóż to dopiero mówić o pochodzie obok plemienia anglo-saksońskiego w Ameryce północnéj.

Krajowcy australijscy są ludźmi łagodniejszéj krwi i pochopniejsi do pracy jak czerwonoskórzy, choć mniéj uzdolnieni do niéj jak murzyni. Obok osadników europejskich żyć oni mogą jedynie na prawach protekcji i filantropii, mogą nawet stać się pożytecznym narzędziem w sprawie osadnictwa, gdyby istnie opiekuńcza ręka kierowała ich na drodze cywilizacji i dobrobytu; ale w każdym razie na dłuższym zegarze wieków, godziny istnienia ludności téj są policzone. Przy najpieczołowitszych nawet staraniach, plemię tak dalece niższe nie ostoi się obok wyższego, sama siła natury i okoliczności, bez przyczynienia się żadnych nadużyć, działać będzie przeciwko niemu, i fatalnym a niewidzialnym pilnikiem ścierać je ze świata. Przypuszczenie to, biegiem wypadków dziejowych, niestety, aż nadto stwierdzone, nasuwa smutną i kłopotliwą myśl. Dla czegóż to człowiek pierwotny żył na ziemi, dla czego żyli od wieków tacy Maori, czy dla tego tylko ażeby po nich jako wspomnienie pozostało że wytępili olbrzymiego strusia i zjedli serce niemieckiego missjonarza? Niech nas tam psychologja i teologja wyprowadzą z tych smutnych i kłopotliwych zapytań, odsłaniając pierwsze i końcowe przyczyny.

Od raptownego zniknienia może Maorysów osłonić tylko egida prawna, i odwlec katastrofę, uczynić ją niedotkliwą, naturalną. Ale pytanie zachodzi czy władza tameczna prawo podobne uczyni rzeczą żyjącą, czy je stworzy, a stworzywszy, utrzyma. Otóż do téj pięknéj rzeczy bynajmniéj nie zdaje się usposobionem społeczeństwo które we wszystkich częściach świata widzi tylko siebie i wielkość swą admiruje, którego bussolą w moralności między-narodowéj, w sympatjach i antypatjach, w czynach i sądach był i jest tylko, interes,kierujący wszystkiemi sprężynami jego działalności, dyktujący pochwały i nagany dla drugich, przepisujący nawet formy, jakie stosownie do okoliczności, przybierać ma owa ostentacyjna godność narodowa, jeżeli ostentacja stała się niebezpieczną.

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

W pierwszych dniach czerwca pogrzebano na cmentarzu łyczakowskim zwłoki śp. Henryka Nowakowskiego literata i dziennikarza. Zmarły napisał pięcioaktowy dramat *Dwa pożegnania*, szkic historyczny *Kasper Karliński* i tłomaczył kilka powieści. Głównie jednakże zajmował się pracami dziennikarskiemi i był jednym z Nestorów publicystyki galicyjskiéj. Wyjechawszy przed kilku laty do Francji, osiadł w Paryżu. Przetrwawszy w okropnéj nędzy cały przeciąg oblężenia, powrócił śp. Henryk Nowakowski do Austrji. Zaledwie jednakże przybył do Lwowa, choroba ciężka rozwijała się w sposób zatrważający i po kilku miesiącach przerwała pasmo

życia. Nieboszczyk przeżył zaledwie 48 lat. Umarł w największym niedostatku.

Życie śp. Henryka Nowakowskiego jest trafną bardzo illustracją do smutnego położenia, w jakiem znajduje się ciągle nasze dziennikarstwo. Położenie to dotąd jeszcze wcale się niepoprawiło, może owszem znacznie sie pogorszyło. Zdarzają się tu bowiem jeszcze i teraz w tutejszym świecie dziennikarskim i literackim wypadki, które wszędzie uchodzićby mogły za bajeczkę. I tak np. przed sześciu tygodniami zaczęło we Lwowie wychodzić pismo literackie *Wola*. Wydawcy wydali cztery numera i zawiesili całe wydawnictwo, bo po sześciu tygodniach doczekali się tylko — piętnastu czy dwudziestu prenumeratorów. Wprawdzie wstręt do czytania jest może po części wynikiem rozlicznych zawodów, których publiczność ze strony dawniejszych pism doznała, ale mimo to przecież fakt powyższy będzie zawsze smutnym objawem obojętności dla literatury i dziennikarstwa. *Chochlik* chociaż nie traci nigdy humoru, liczy bardzo szczupły zastęp prenumeratorów. *Gazeta Literacka* większą wprawdzie zjednała sobie łaskę u publiczności, ale mimo to wątpię, by się jéj udało pokonać tak silnie wkorzenione, a niestety po części i uzasadnione uprzedzenie do lwowskich pism literackich. Stan majątkowy *Strzechy* jest zawsze zagadką, ale świetnym w żaden sposób być nie może.

Za to pisma warszawskie coraz więcéj rozpowszechniają się po Galicji, a mianowicie: *Tygodnik illustrowany*, *Kłosy*, oraz *Tygodnik mód i powieści*. Nawet po kawiarniach i cukierniach lwowskich daleko częściéj spotkać się można z pismami warszawskiemi niżeli z lwowskiemi.

Lwowska wystawa obrazów wzbogaconą została na schyłku tegorocznéj kadencji, pięknemi obrazami Matejki, Greka, Kossaka i Leopolskiego. Obraz Matejki: *Dzieci*, celuje wszystkiemi zaletami pędzla tego genialnego artysty. Leopolski wystąwił dwa obrazy, jeden mały a drugi o większych rozmiarach, przedstawiający kasztelana. Artysta ten ma już ustaloną jak najpochlebniejszą reputację, a krytyka przyznała mu już dawno wyższość nad wszystkiemi artystami lwowskiemi. Kasztelan jest świeżym dowodem, że sąd ten był zupełnie trafnym. Talent niepospolity p. Leopolskiego, przedstawia się w tym obrazie w pełnym blasku. Niestety, niedługo mogliśmy oglądać kasztelana; bo zaledwie kilka dni znajdował się na wystawie i zniknął nagle właśnie w chwili, gdy publiczność zachęcona zaszczytnem nazwiskiem autora i nader pochlebnemi wzmiankami w dziennikach, tłumnie spieszyła do sali Domu wystawy. Powodem tego zagadkowego wycofania obrazu, ma być jakieś nieporozumienie pomiędzy artystą a Towarzystwem przyjaciół sztuk pięknych. Takie nieporozumienia są u nas niestety zawsze i wszędzie na porządku dziennym, i kończą się zwykle krzywdą wyrządzoną publiczności.

Pisząc w poprzedniéj korespondencji o smutnym stanie wyższych zakładów naukowych w Lwowie, nie spodziewałem się, że tak prędko, bodaj w drobnéj części, ustąpi powód moich utyskiwań. W ubiegłym miesiącu zarządził cesarz, ażeby przy lwowskiéj technice, z początkiem przyszłego roku szkolnego, otworzone zostały trzy nowe katedry: mechaniki budowniczéj, geometrji praktycznéj i technologii chemicznéj.

Przed trzema tygodniami odbyła się na Zielonem przedmieściu, uroczystość założenia kamienia węgielnego pod budowany kosztem miasta gmach Szkoły Elżbiety. Uroczystość ta odbyła się bardzo okazale, w obecności rady miejskiéj i burmistrza, księcia Leona Sapiehy, jako reprezentanta sejmu i wydziału krajowego tudzież radcy dworu p. Podlewskiego jako reprezentanta rządu.

Zwolennicy sportu darują nam, że dopiero teraz po wyczerpnięciu spraw ważniejszych, zdamy sprawę z tegorocznych wyścigów konnych. Gdyby w téj mierze rozstrzygała zewnętrzna okazałość, wypadłoby wzmiankę o wyścigach umieścić na samem czele korespondencji rozstrzelonemi zgłoskami. Tegoroczne wyścigi odbyły się istotnie z większą niż zazwyczaj okazałością i z wcale niezwykłym hałasem. Publiczność nasza lubi takie widowiska, więc rozległe błonia Janowskie, na których odbyły się wyścigi, wyglądały jak obóz malenkiéj armii. Kto tylko miał czas, spieszył na błonia w dorożce lub pieszo i nie zrażał się ani odległością tego miejsca ani niepospolitemi, prawdziwie zabójczemi tumanami kurzu. Bogini szczęścia była w tym roku bardzo ogłędną i sprzyjała kolejno wszystkim znakomitszym właścicielom stadnin.

Więcéj może niż same wyścigi, zajmowała publiczność wielka defilada mnóstwa karet, ekwipażów, omnibusów, wózków itp. od błoń Janowskich przez główniejsze ulice miasta. Temu widokowi przypatruje się corocznie wielki tłum ciekawych, ustawiony na długiéj przestrzeni ulicy grodeckiéj, jezuickiéj i Karola Ludwika. W tych wyścigach o przepych i olśniewającą okazałość, odniósł w tym roku zwycięztwo ekwipaż hr. Władysława Siemieńskiego.

Uzupełniam kronikę miejscowych wypadków krótką wzmianką o otwarciu zrestaurowanéj kawiarni teatralnéj, którą dostała się teraz w ręce znakomitéj firmy: Żmudziński et Kostecki. Dla czytelniczek Tygodnika wiadomość tą jest obojętną, ale pominąć jéj niepodobna, bo faktem tym Lwowianie więcéj się zajmowali i zajmują, niżeli prospektem nowego pisma albo nowéj książki. Nowa kawiarnia jest dla Lwowa niezawodnie bardzo okazałym nabytkiem, bo łączy się w niéj komfort z wygodą. Ślicznym jest, mianowicie salonik, przeznaczony dla dam i mężczyzn niepalących tytoniu.

Bronisław Łoziński.

PORADNIK
DLA ZBIERAJĄCYCH RZECZY LUDOWE

NAPISAŁ

Dr. Jan Karłowicz.

(Dalszy ciąg).

D. Podania.

Chociaż kilkaset podań mamy już drukowanych, niewątpliwie jednak znacznie więcéj krąży ich pomiędzy ludem. Spisywać je należy więc jak najpilnéj, nie zważając czy piękne, czy brzydkie, krótkie, czy długie, zrozumiałe, czy niezrozumiałe; a spisywać o ile można dosłownie; a zatem jeżeli lud mówi odrębném narzeczem, to w tém narzeczu, jakąkolwiek, byle stałą pisownią; lecz przedewszystkiém dosłownie; z dosłowności bowiem dwojaka wypływa korzyść: naprzód ta iż podanie zachowuje swą barwę nienaruszoną, powtóre iż zawierać będzie pełno prowincjonalizmów, które literaci sami z podań wynotują; jeżeli więc w bajkach, podaniach, będą wyrazy prowincjonalne, a także ułamkowe lub całe pieśni, zagadki, to nie wypisywać ich oddzielnie na kartkach, lecz tylko w odsyłaczach wytłomaczyć ich znaczenie, dodając jakiś przykład objaśniający: *Nie zmieniać podań ani na jotę*: nie rymować, nie ogładzać, nic nie opuszczać ani dodawać, bo to je tylko zaciemnia, psuje i podaje pod wątpliwość. Ze szczególną ścisłością zapisywać imiona własne, zagadki, przysłowia a także rymy lub wiersze wchodzące do bajek.

Do tego oddziału należą wszystkie formy powieści ludowéj; legendy, klechdy, podania, bajki, jak niemniéj tradycje o pewnych miejscowościach: zwaliskach, jeziorach, źródłach, kościołach, skałach i kamieniach, śladach wyciśniętych na nich itd. o pewnych rodach, rodzinach i osobach.

Zapisując na kartce u góry z lewéj strony oznaczyć D. duże, pod niém powiat; z prawej parafię lub wieś, a po środku samo podanie. Jeżeliby tak tu, jak i w innych zdarzeniach pojedyncza karta, nie wystarczała, to pisać na całéj ćwiartce we dwoje złożonéj, lub na kilku ćwiartkach zszytych, ale zawsze w formacie półćwiartkowym.

E. Zabobony. Zamawiania. Gusła.

Zabobonów, przesądów i t. p, mamy stosunkowo najmniéj zebranych; są one jednak, wraz z podaniami, najważniejszem źródłem mitologii przedchrześcijańskiéj, a giną prędzéj od innych form twórczości ludowéj. Do tego oddziału należą: kalendarz ludowy, czyli przywiązywanie pewnych zjawisk lub czynności do pewnych dni roku, świąt, tygodni, miesięcy, lunacji i t. d.; wróżby pogody, niepogody, śmierci, urodzaju, nieszczęść, zarazy, małżeństwa, potomstwa, podróży i t. p.; gusła i czary niewinne i złośliwe: miłosne, na czyją szkodę lub zgubę, ochronne; zabezpieczające od cudzych czarów, lekarstwa sympatyczne, magiczne, jedném słowem nieracjonalne, gusła i czary, połączone z wymawianiem, szeptaniem lub pisaniem pewnych wyrazów, rymów, modlitw; w tych wszystkie wyrazy jak najdokładniéj zapisywać należy, bez względu czy są zrozumiałe, lub niezrozumiałe, dorzeczne lub niedorzeczne; krótkie podania o strachach, widmach, duchach domowych, wodnych, leśnych, zwaliskowych, górnych, podziemnych, cmentarnych, błotnych; o czarownicach, upiorach, nieboszczykach; o duszach zmarłych, wisielcach, topielcach, samobójcach, o początku świata, stworzeniu lub założeniu różnych istot, domów miast, jezior i t. p.; powody lub zakazy robienia tego lub owego w ogóle, albo w pewne dni, godziny, lub w pewnych okolicznościach pewnym osobom; zabobony rolnicze: co kiedy siać, orać, nie siać, nie orać i t. p.; o zwierzętach domowych i dzikich; ich chorobach, przemianach, wróżbach z nich i t. d. i t. d.

Systematyczny program tego oddziału rzeczy ludowych aby był dokładnym i szczegółowym, zająłby zbyt wiele miejsca i byłby tutaj zbytecznym, gdyż ogół ukształcony rozumie zapewne, co do kategorji zabobonu. w ogólném zrozumieniu należy; jest ona tyle obszerna, ile ważną i dotychczas najmniéj z rzeczy ludowych uwzględnioną.

Zabobony zapisywać należy na kartkach oddzielnych, oznaczając jak w poprzednich działach, powiat i wieś; oraz dział dużém E.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkowę.

(Dalszy ciąg.)

XX.

Po powrocie z odwiedzin moich u Zeni do domu, znalazłam moją matkę tak zamyśloną i smutną, jak ją już dawno nie widziałam. Gdy witałam ją, rzekła ze źle tajoną goryczą:

— Ślicznieś tam dziś wyglądać musiała w téj twojéj wełnianéj sukni, obok strojów Zeni i jéj paradnych pokojów!

Niestety! wyrazy te aż nadto zrozumiale wytłomaczyły mi zamyślenie i smutek mojéj matki. Widmo przeszłości zajrzało jéj znowu w oczy w postaci świetnéj toalety Zeni, jéj powozu i liberji. Pierwsze od czasu popadnięcia w ubóstwo spotkanie się ze zbytkiem i blaskiem, rozbudziło na nowo w mojéj matce żal po nich, uśpiony już przedtem nieco.

Przez cały już wieczór matka moja była milcząca i zamyślona, a nazajutrz gdym wychodziła na lekcje, zatrzymała mię na chwilę przy sobie, i z wielką starannością zaczęła się wypytywać o przyjęcie, jakiego doświadczyłam od Zeni goszcząc w jéj domu. Bo widzisz, moja droga, dodała nie bez pewnego wahania: zdaje mi się że spostrzegłam u Zeni gdy tu była, pewną niestosowność obejścia się. Czy tylko ona nielekceważy nami, dla tego żeśmy teraz... żeśmy teraz ubogie...

Przy ostatnim wyrazie, widocznie połknęła łzę, któréj nie chciała mi pokazać. Z całą wymową na jaką tylko zdobyć się mogłam, przekonywałam moją matkę, że omyliły ją spostrzeżenia na Zeni uczynione, że przeciwnie była nam nadzwyczaj przyjazną, a dla mnie jak nie może być więcéj wylaną i serdeczną. Słuchała mię wzroku nieodrywając od ziemi.

— Wszystko to być może, rzekła w końcu; nie chciałabym jednak abyś bardzo się narzucała ze swą obecnością i przyjaźnią dawnéj towarzysce, z którą teraz dzieli cię taka różnica majątku i towarzyskiego położenia. Bogaci ludzie, moje dziecko, myślą zwykle że wielką łaskę wyświadczają uboższym od siebie, jeśli zachodzą z nimi w bliższe stosunki, a spodziewam się, że własna duma niepozwoli ci takim kosztem podtrzymywać stosunek twój z Zenią.

Bolały mię bardzo te słowa mojéj matki, bo naprzód widziałam w nich niesprawiedliwość wyrządzoną Zeni, która bądź co bądź miała serce bardzo proste i dobre, a od wszelkiéj pychy była zupełnie wolną; następnie wiedziałam, iż są one objawem miłości własnéj do tego stopnia zranionéj, że odbierało jéj zwykłą trafność i sprawiedliwość sądzenia o rzeczach i ludziach.

Po chwili namysłu rzekłam:

— Moja mamo, czyliż sama będąc bogatą gardziłaś uboższymi od siebie, i wiążąc się z nimi życzliwym stosunkiem, myślałaś że wyrządzasz im wielką łaskę? Jestem pewna że nie czyniłaś tego.

— Miewałam zwykle stosunki tylko z równymi sobie majątkiem i położeniem, odpowiedziała moja matka spuszczając oczy.

W téj chwili otworzyły się drzwi, i liberjowany lokaj Zeni wniósł wielki kosz prześlicznych kwiatów, wraz z bardzo uprzejmym i serdecznym bilecikiem do mojéj matki zaadresowanym. Matka zobaczywszy kwiaty zarumieniła się silnie, przeczytała liścik i powiedziała mi, abym zastąpiła ją w przesłaniu Zeni podziękowań. Gdy służący odszedł, nie rzuciła nawet spojrzenia na bukiety, które rozstawiałam po stołach; odeszła, i słyszałam jak zamykała się w swoim pokoju.

Odtąd ile razy Zenia ukazała się u nas, tyle razy fałdy rysujące czoło mojéj matki stawały się głębsze, obejście się jéj z otaczającemi nabierało sztywności, a w oczach grała gorycz tłumiona. A jednak zdarzać się to musiało często, bo Zenia parę razy na tydzień nas odwiedziała, a za każdym razem przywoziła mnie i siostrze mnóstwo łakoci i drobnych podarunków, co do najwyższego stopnia niecierpliwiło i obrażało moją matkę.

— Zdaje mi się, rzekła raz do mnie po odjeździe Zeni, zdaje mi się, że pani. C, pragnie nam zaimponować, przyjeżdżając zawsze do naszéj ubogiéj chatki powozem i z liberją... osoba delikatna niepowinna przybywać do ludzi ubogich, z takim hukiem i blaskiem.

Jak mogłam tylko najprędzéj dałam do zrozumienia Zeni, że sprawiłaby mi wielką przyjemność, gdyby zgodziła się na odwiedzanie nas pieszo. Nie objawiłam jéj przyczyny mego żądania, ale zdaje mi się że się jéj domyśliła, bo zaraz nazajutrz przyszła pieszo, a tylko w towarzystwie służącego i to bez liberji. Gdy się to kilka razy powtórzyło, moja matka rzekła do mnie:

— Jak widzę pani C. uznała, że nie warto przed nasz skromny domek zajeżdżać pysznym powozem, i przybywa do nas pieszo, a powozu używa do wizytowania osób równych sobie położeniem.

Innym razem gdy w niedzielę wybierałam się w odwiedziny do Zeni, matka moja kazała mi koniecznie włożyć jedwabną suknię, pozostałą z dawnéj mojéj garderoby.

— Nie mogę znieść myśli, rzekła, iż odegrywasz tam w tym bogatym domu rolę kopciuszka...

Z prawdziwym smutkiem rozmyślałam często nad tem, jak pewien błędny kierunek życia zdolny jest stłumić głos najlepszego nawet serca, i tak jasny nawet umysł, jakim była obdarzona moja matka, zaćmić i sprowadzić na drogę drobnostek i chorobliwych niemal przywidzeń. Ta sama uwaga nasuwała się może i mojéj matce, w chwilach chłodniejszéj rozwagi i zastanowienia, bo parę razy całując mię gorąco, powiedziała:

— Moje dziecko, przebacz mi te wszystkie dziwactwa jakie popełniam, i nie sądź źle bardzo o mnie. Jestem widzisz, jak człowiek spadły na ziemię z innéj planety, który ogląda się wkoło siebie i nie może jeszcze zmiarkować co się z nim stało...

Porównanie to było w istocie bardzo trafnem. Cierpienia, niepokoje, wstydzenia się, drażliwości i podejrzliwości jakich doświadczała moja matka, miały źródło w tym głębokim rozdziale, jaki leży pomiędzy światem w jakim przebywała dotąd, a tym do którego wprowadziła ją utrata majątku. Wszelkie ujemne strony minionéj przeszłości... zniknęły z jéj pamięci, pozostawiając tylko żal za ową stroną miękką, złoconą, połyskującą, do któréj przyrosła duszą i ciałem. Wzajemnie zaś piękne i dobre strony teraźniejszości, znikały przed wywoływanem wciąż widmem tego co utraciła, a pozostawiały za sobą długie a przykre cienie, choćby wymarzonych tylko niedostatków i upokorzeń.

A jednak życie nasze jakieśmy prowadziły; nie było pozbawione uroku. Nie posiadałyśmy zbytku, ale też nie doświadczałyśmy wcale niedostatku. Domek nasz pełen był kwiatów, książek, promieni słonecznych i przyjaznych sobie wzajem twarzy. Wieczorem mogłyśmy przy otwartych oknach wsłuchiwać się w oddalony gwar miasta, łączący się z szumem rzeki błękitnéj, a z rana po spoczynku nie przerywanym żadnemi złemi snami, witałyśmy się wzajem serdecznem: dzień dobry — i szłyśmy każda do swéj pracy, aby w połowie dnia zejść się znowu i zasiąść do stołu, ze swobodną pogadanką na ustach i spokojem w sercach.

Matka moja zaczynała już przyzwyczajać się do życia bez burz i wstrząśnień, jednostajnego i cichego, ale urozmaiconego tem co każda z nas wydobywała sama z siebie, i ozdobionego wzajemnem do siebie przywiązaniem osób, które żyły pod jednym dachem, gdy pojawienie się Zeni wlało znowu w jéj umysł żywioł niepokojów i żalów, nasuwając jéj przed oczy to wszystko co utraciła, o czem zdawało się że zapominać zaczynała, ale co stanowiło znać siłę niezwyciężoną jeszcze.

Bądź co bądź i mój spokój został zachwianym; przez kilkanaście tygodni, wzrokiem pełnym niepokoju śledziłam chmury, które ciążyły na czole mojéj matki, to znikały aby się znowu pojawić. Wszelkich też dokładam usiłowań, aby miłością mogą rozgrzać przytłoczone jéj serce, a myślą wniknąć w jéj umysł wnosząc weń pogodę i światło pojęcia.

Nowa zmiana jaka zaszła w domowem naszem kółku, dzielnie dopomogła tym staraniom moim.

XXI.

Był to jeden z wieczorów wczesnéj jesieni; do pokoju wpływały przez otwarte okna strugi świeżego, ożywczego powietrza i barwiste światło, jakiem promieniał na zachodzie szeroki pas z purpury i złota. Matka moja siedziała na sofie, i wpół serdecznym, wpół ciekawym wzrokiem wpatrywała się w stojącego przed nią młodego mężczyznę, w którego i ja wpatrywałam się stojąc u okna, wpatrywała się także i Emilka kryjąc się nieco za mnie, i twarz swą oblaną rumieńcem, bojaźliwie niedelwie wysuwając z za mego ramienia.

Gościem naszym był dwudziesto-kilkoletni młodzieniec, z płowemi włosami i błękitnemi pogodnemi oczami, z czołem białem a twarzą ogorzałą, z wesołym uśmiechem na purpurowych ustach, z muskularnemi zgrubiałemi nieco rękami.

Stał on przed moją matką i patrzył na nią, a potem wzrok swój na mnie przenosił. Radość szczera promieniała na czerstwéj jego twarzy, a w oczach

kręciła się drobna łza rozrzewnienia. Był to Franuś...

Matka moja wiedziała już odemnie, że został rzemieślnikiem, ale wyobrażała sobie że ta zmiana stanu jakiéj uległ, musiała go wiele kosztować i spodziewała się zapewne zobaczyć go zgnębionym upokorzonym, smutnym, schorzałym, może i złamanym pracą przedsięwziętą nad siły. Tymczasem przedstawił się jéj jako prawdziwe wcielenie życia, energji młodzieńczéj, wiary w przyszłość i w siebie, czerstwego zdrowia, ciała i duszy. Z przeszłości pozostała mu tylko zewnętrzna ogłada, w świecie w jakim wychował się nabyta, i jeden wdzięk więcéj jeszcze dodająca jego powierzchowności.

— I zupełnie pogodziłeś się z położeniem swojem? spytała matka moja Franusia, kiedy po długich powitaniach, usiadł pomiędzy nami.

— A dla czegoż nie miałbym się z niem pogodzić, kuzynko? wzajemnie zapytał Franuś, ze zdziwieniem prawie patrząc na moją matkę.

Widocznem było że zapomniał już nawet o wyobrażeniach, jakie towarzyszyły pierwszym latom jego życia.

Przez cały wieczór byliśmy wszyscy bardzo weseli i rozmowni, oprócz mojéj matki, która z zamyśleniem przyglądała się wciąż Franusiowi. W zamyśleniu tem jednak nie było nic przykrego, bo czoło miała rozpogodzone i oczy łagodne. Z pewnéj tylko mnie saméj znanéj gry jéj fizjonomji, można było poznać, że cały szereg uwag i sprzecznych myśli przesuwał się po jéj głowie. Dziwne, dziwne czasy! powtórzyła parę razy, jakby do saméj siebie i machinalnie.

— Dobre czasy, kuzynko, podchwycił wesoło Franuś i ucałował jéj ręce.

— Dawniéj, mówiła moja matka, w owych złotych wiekach ludzkości, o jakich tak często wspominają poeci, pasterze stawali się królami, dziś królowie tego świata zstępują do cnót i zajęć pasterskich...

— Tak, kochana kuzynko, odpowiedział Franuś z uśmiechem, a cnoty te i zajęcia stają się królom tak drogie i miłe, że nie chcieliby już ich może zamienić na uprzednie królowanie, więcéj pozorne jak prawdziwe.

Matka moja dłoń przesunęła po czole.

— Patrząc na ciebie Franusiu, rzekła, czuję wielką ochotę wierzyć w to co mówisz...

Spodziewałam się że po odejściu Franusia, Emilka wiele mi o nim mówić będzie. Gdyśmy się jednak znalazły w osobnym pokoiku naszym, przeciwko oczekiwaniu memu nic do mnie nie rzekła, a tylko goręcéj jeszcze niż zwykle pocałowawszy mię parę razy, usiadła w milczeniu przy swoim stoliczku i otworzyła jakąś książkę. Widząc że nie ma usposobienia do rozmowy, nie narzucałam się jéj z mojem towarzystwem, a znużona dziennemi po mieście kursami wkrótce usnęłam. Kiedy śród nocy przebudziłam się po raz pierwszy, zegar ścienny wybijał późną popółnocną godzinę, a Emilka siedziała jeszcze na tem samem miejscu, na którem widziałam ją usypiając. Przed nią rozłożona była na stoliku książeczka, w któréj spisałam uwagi i rady mego ojca, a którą czytywałyśmy nieraz wspólnie. Wzrok jednak Emilki oderwał się w zamyśleniu od kartek książki i utkwił w przestrzeni, łzawy i marzący. Białe światło lampy padało na czoło jéj pochylone i wsparte na dłoni, i odbijało się w błękitnych źrenicach. Reszta twarzy pokryta była cieniem, i wyrazu jéj dojrzeć nie mogłam. Z oczu tylko poznawałam, że w myśli zadumanéj dziewicy, jak perełki na jedwabnym sznureczku przesuwały się wspomnienia różnych chwil przeszłości, i pytania jaką też będzie ta przyszłość, która w postaci rozbudzonego na nowo uczucia, zakołatała dziś do jéj serca?

W parę tygodni potem, warsztat stolarski założony przez Franusia w ulicy nie zbyt odległéj od naszego mieszkania, działał już w pełnéj sile. Franuś wraz z ojcem moim odbył podróż zagranicą, z zamiłowaniem przypatrywał się wszelkim udoskonaleniom, jakich nabyły rzemiosła w innych krajach, pilnie uczył się technicznéj ich strony, a zarazem umysłem przyzwyczajonym od dzieciństwa do widoku rzeczy pięknych i wytwornych, odgadywał prawa estetyki i wykwintnego smaku, które każdy najprostszy na pozór wyrób podnoszą do wysokości arcydzieła. To też gdy w miesiąc po przybyciu jego do W. poszłyśmy zwiedzić jego zakład, nie mogłyśmy nie podziwiać z jaką szybkością i zręcznością odbywało się tam wszystko, jak każdy przedmiot wychodzący z pod ręki Franusia i jego pomocników, odpowiadał wszystkim warunkom wygody, mocy i piękności.

Mieszkanie Franusia składało się z jednego pokoiku umieszczonego na facjatce domu, którego całe niższe piętro zajmowali pomocnicy i czeladnicy jego. Poszłam je zwiedzić. Skromny to był i ciasny pokoik, za całą ozdobę mający czystość bez zarzutu i sporą szafkę z książkami, w któréj obok arcydzieł poezji i beletrystyki, znajdywały się w wielkiéj liczbie dzieła o przemyśle i rzemiosłach traktujące. Wprowadziwszy mię do tego skromnego schronienia, Franuś obejrzał się po nim wesoło, i rzekł do mnie z poufałością do któréj przywykliśmy byli oboje w domu mego ojca:

— Upewniam cię Wacławo, że lepiéj mi tu jest daleko, niż było w officynie babki Hortensji.

— Choćby dla tego, przerwałam śmiejąc się, że nie jesteś zmuszony podnosić nikomu kłębuszków z pod kanapy...

— Ani wstydzić się swéj nieudolności i zjadać chleb podany jako jałmużnę, z powagą dokończył Franuś.

Na dziedzińcu zgrzytały dwie piły, leżały stosy wysychającego na słońcu drzewa, przez bramy wjeżdżały wozy przywożące coraz nowe zapasy stolarskiego materjału, mające starczyć na całą zimę. W obszernéj szopie kilku ludzi w robotniczych bluzach dzielnie uwijało się z heblem, klejem i młotkami, od czasu do czasu zbliżając się do umieszczonego pośrodku szopy stołu, na którym leżały stosy rysunków i wzorów na posadzki, meble i różne sprzęty począwszy od najprostszych i najtańszych aż do takich które lekkie i wspaniałe, opatrzone w misterne rzeźby i ozdoby, służyć miały do zapełniania bogatych i wykwintnych salonów.

Gdyśmy nadeszły, Franuś wraz z głównym pomocnikiem swoim, zajęty był wykonywaniem rzeźby mającéj okrywać szuflady prześlicznego biórka, do którego wzór leżał przed nim na stole. Ujrzawszy nas porwał się od roboty, ale nie wypuścił z ręki dłuta, i tak z tem narzędziem w ręku odziany w bluzę, z głową odkrytą i twarzą rozpromienioną, oprowadzał nas po swoim zakładzie, który nazywał żartobliwie: swojem królestwem.

Zdaje mi się, że matka moja pierwszy raz w swem życiu zwiedzać musiała na większą skalę założony rzemieślniczy warstat, bo rozglądała się wkoło z wielką ciekawością, a mianowicie zajmowali ją robotnicy w bluzach, pilnie i pojętnie pracujący pod nadzorem Franusia, który pomimo rozmowy jaką prowadził z nami, rzucał na nich od czasu do czasu baczne wejrzenia. Nie sądziłam, rzekła, gdyśmy wracały do domu, aby podobne miejsce tak przyjemnie wyglądać mogło. Widocznie i taka nawet ręczna, machinalna praca, posiada swoje piękne i zajmujące strony.

— Nie jest ona machinalną jak się z pozoru zdaje, ozwał się Franuś, który zmieniwszy bluzę na zwyczajne ubranie towarzyszył nam w powrocie do domu. Co więcéj, mówił daléj, jestem zdania że niema na świecie machinalnéj pracy, jeżeli człowiek który się jéj oddaje, nie traci z myśli warunków piękna i użyteczności, w jakich ma być ona dokonaną. Przypominam sobie, że w porze gdy rozpoczynałem dopiero mój skromny zawód, i gdy chwilami dawne pojęcia i przesądy odzywały się jeszcze we mnie, buntując mię przeciwko położeniu w którem jednak szukałem zbawienia od wiecznéj zależności i nicości moralnéj, ojciec Wacławy, którego imienia nie mogę wspomnieć bez najgłębszéj czci i wdzięczności, powiódł mnie z sobą na jedną z tych dalekich wycieczek, które zwykł odbywać jako gorliwy miłośnik i badacz przyrody.

Przyzwyczajony do niezmąconéj jego pobłażliwości i dobroci, powierzałem mu w drodze zwątpienia moje i upadki na duchu jakich doświadczałem, mówiłem mu że nieraz myślę z goryczą, dla czego tak niskie na tym świecie i niepokaźne miejsce dostało mi się w udziale wtedy, gdy są przecie szczęśliwi którzy dochodzą wysoko i dokonywają wielkich rzeczy? Znajdywaliśmy się wtedy w głębi wonnego sosnowego boru. Ojciec Wacławy przystanął, pochylił się nieco i wskazał mi dwie mrówki, które po powierzchni mchu dążyły do niedaleko ztamtąd widniejącego mrowiego gniazda. Patrz, rzekł do mnie, jeden z tych owadów silny i duży ciągnie za sobą wielką i ciężką gałęź, drugi młodszy znać mniejszy i słabszy, niesie drobne mchu źdźbiebełka.

Ale, jak jeden tak drugi, owoce pracy swojéj niosą gniazdu swemu, które nie mogłoby się obejść tak bez téj jędrnéj i bogatéj gałęzi, jak bez miękkiéj mchu odrobiny. Czy mała ta mrówka może stać się wielką, skoro natura nie utworzyła ją taką? Czy powinna ona wstydzić się tego i boleć nad tem, że gdy silniejsza jéj towarzyszka dźwiga i nosi znacne ciężary, ona zdolna tylko drobne gniazdu swemu przynosić usługi? Nie, ona pracuje wedle sił i natury swojéj, a dzięki téj pracy swéj, ma prawo szukać w swojem gnieździe spokojnego przytułku, bo nie jest w niem pasożytem ani nieużytecznym zjadaczem cudzych płodów.

Matka moja z coraz większem zajęciem przysłuchiwała się podobnym rozmowom, prowadzonym często pomiędzy mną, Emilką i Franusiem.

— A, mówiła, składacie inny świat... Wprowadzacie mię do innego świata...

Franuś zajęty pilnie swemi robotami, nie zbyt częstym bywał u nas gościem, Niedziele wszakże, święta, a niekiedy i wieczory dni powszednich przepędzał z nami! Wtedy zawiązywały się pomiędzy nim a Emilką nieskończone rozprawy o rzemiosłach, znaczeniu ich i o technicznych i estetycznyzh stronach. Oboje młodzi ludzie gorąco brali się do prac, które im miały zapewnić spokój umysłów i byt niezależny. Ztąd wywiązało się pomiędzy niemi pewne pokrewieństwo moralne, wynikające ze wspólności zajęć i zamiłowań, i pewna poufała na tem pokrewieństwie oparta przyjaźń. U Emilki były jeszcze, obok téj przyjaźni, nagłe rumieńce i błyskawice w spójrzeniu, objawiające szybkie uderzenia jéj serca wtedy mianowicie, gdy pod oknami naszemi rozlegały się męzkie stąpania Franusia, albo gdy oczy jego spoczywały na jéj twarzy z szacunkiem przyjaciela i serdecznością braterską. Jakkolwiek jednak z baczną uwagą przypatrywałam się młodéj parze, nie spostrzegłam u Franusia ani rumieńców ani błyskawic w oczach. Emilka była mu przyja-

ciółką, pokrewną losem i wyobrażeniami, miłą i poufałą towarzyszką....' ale niczem więcéj. Raz znalazłszy się z nim sam na sam, spytałałam go: co myśli o Emilce? „Dobra jest, rozsądna i odważna, odpowiedział z przekonaniem, ale zarazem i spokojnie. Pojęłam że młody i z gorącem sercem człowiek jakim był Franuś, nie w ten sposób by mówił o kobiecie, dla któréj by miał żywsze jak przyjaźń uczucie.

Emilka jednak wydawała się zupełnie szczęśliwą, nie czyniła mi wprawdzie nigdy żadnych zwierzeń, co zresztą najlepiéj świadczyło o głębokości i sile uczucia jakie dla Franusia powzięła, ale nieraz drżącym uściskiem dłoni, lub rozmarzonym wyrazem oczu z jakim patrzyła na mnie, opowiadała mi to czego usta jéj wymówić nie śmiały. Blada wprzódy i nieco zwiędła, rozpromieniła się teraz i rozrumieniła pod wpływem mocniéj rozbudzonych uderzeń serca, a niekiedy, co jasno czytałam w jéj czystéj i gorącéj lubo tak łagodnéj duszy, wydawała mi się nieledwie piękną, pod tym ożywczym promieniem uczucia, który ją rozgrzał i oświetlił. Jednego właśnie z dni, w których najładniéj wyglądała w moich oczach, zwróciłam uwagę Franusia na miłą i ujmującą jéj powierzchowność. Uśmiechnął się i odrzekł: zdaje mi się, że wdzięki panny Emilji są najmniejszym z jéj przymiotów.

Byłam pewną, że miał wtedy ochotę powiedzieć, że znajduje ją zupełnie brzydką, a tylko wstrzymał się przez obawę uczynienia mi przykrości!

Pomimo to wszystko z radością uważałam, że przyjaźń między nimi zawiązywała się coraz ściślejsza i bardziej wylana, i miałam nadzieję że prędzéj czy późniéj przemieni się ona u Franusia w głębsze i goręcsze przywiązanie do dobréj dziewczyny, która serdeczny do niego pociąg czuła już wtedy, gdy sama opływała w bogactwach i spodziewać się mogła świetnego losu, a on był jeszcze chłopcem ubogim i bez przyszłości.

Nowy jednak wypadek jaki zaszedł w życiu naszem domowem, położył koniec tym moim nadziejom. Na początku zimy pan Rudolf odwiedził nas w przejeździe zagranicę, i zostawił u nas, „swego skowronka i swoją różyczkę" uroczą, prześliczną Madzię. Matka młodéj dziewszyny i Rozalja pozostały w Rodowie, dokąd zabrały i młodszą siostrę Madzi, téj zaś ulubienicy swojéj, tego najdroższego dziecka swego, pan Rdolf nie chcąc zostawić pod szkodliwym wpływem matki i starszéj siostry, polecił ją naszéj opiece. Chętnie przyjęłyśmy pod dach nasz to śliczne i świeże dziecię, tembardziéj że obie z moją matką domyślałyśmy się, iż podróż pana Rudolfa nas miała na celu. Odjeżdżał ożywiony dziwną energją. Przygnębienie jakie cechowało go wprzódy zniknęło bez śladu; zdawał się być odmłodzonym o lat wiele.

A jednak w oczach jego, obok gorączkowo niemal rozbudzonego życia, grał smutek wielki, głębszy może jeszcze niż wprzódy. Żegnając się z córką i z nami blady był bardzo, ale ani na chwilę nie wydał się z bolesnem wzruszeniem, które jednak baczne oko z łatwością odgadnąć w nim mogło. Powrócę, mówił do nas pewnym głosem, nieprędko może ale powrócę,— muszę wrócić, bo podróż moja ma na celu dopełnienie obowiązku, naprawienie krzywdy która przezemnie się stała... Ufam że dozwolonem mi będzie uczynić to i wrócić do dzieci moich, pod mój dach cichy pod którym chcę umrzeć.

Po odjeździe ojca, świeża twarzyczka Madzi powlekła się smutkiem i bladością; niemniéj jednak po pierwszem spojrzeniu jakie zamieniła z Franusiem, po pierwszéj rozmowie jaka zawiązała się między nimi, nieśmiałéj, przerywanéj milczeniami, w czasie których twarz dziewczyny oblewała się purpurą, a oczy Franusia ciskały iskrami; poznałam że kochać się będą. Tego dnia Franuś późniéj jak zwykle nas opuścił, a ostatnie spojrzenie jego upadło na Madzię, która spłoniona jeszcze cała od przedchwilowéj z nim rozmowy, stała strwożona jak dziecię, promienna jak dziewica po raz pierwszy poczuwająca w sobie tchnienie miłości, i dwojgiem czarnych nieśmiałych oczu słała mu wyrazy: wracaj coprędzéj! Spojrzałam na Emilkę i przelękłam się bladości jéj twarzy, którą kryć usiłowała w muślinową firankę u okna. Wyciągnęła jednak rękę do Franusia; i uprzejmym, pewnym głosem, życzyła mu dobréj nocy, potem zbliżyła się do Madzi i uścisnęła ją. Uważałam że uczyniła to ostatnie nie bez pewnego wahania i z widoczną walką.

Téj nocy słyszałam Emilkę płaczącą długo i pocichu... I ja także nie spałam, a zdawało mi się że mam dopiero lat ośmnaście, z taką siłą i świeżością uderzyło mi serce, tyle cudownych obrazów i marzeń tłoczyło się do głowy, łamiąc się z zimną rozwagą jaką rządzić się postanowiłam, zwyciężając ją i pogrążając mię w długie, dziecinne niemal rojenia. Pierwszy to raz od roku nie myślałam przed uśnięciem, ani o uczennicach moich i jutrzejszych lekcjach, ani o środkach uprzyjemnienia i rozweselenia życia méj matki. Nie przesłałam nawet ani jednéj myśli ojcu memu, chociaż zwykle gdy wstawałam samotną, obraz jego mięszał się ze wszystkiemi memi myślami. Poczuwałam w sobie ten głęboki egoizm serca zdjętego niewysłowionem wzruszeniem, niezdolnego patrzeć gdzieindziéj jak tylko w samego siebie.

Dla czego działo się tak ze mną? Jaki powód strącił duchowe władze moje z drogi, po któréj postępowały one z punktualnością nakazaną i ściśle przestrzeganą rozumem?

Oto, pan Rudolf nie z córką tylko przybył do naszego domu. Towarzyszył mu jeszcze *ktoś* z kim razem puszczał się w kraje odległe, *ktoś* o rozumnych oczach, pogodnem czole i łagodnych ustach, o kim nigdy bez wzruszenia wspomnieć nie mogłam. Zobaczyłam znowu hr. Witolda, ale tym razem cały już wieczór z nim przepędziłam. Spojrzenie głębokich jak morze oczu jego, tkwiło we mnie długo... Prosił abym grała, i czułam, że całą duszą wsłuchiwał się w moją muzykę, pragnąc może usłyszeć w niéj znowu dzieje mego serca, które już niegdyś wygrałam przed nim. Nie wiem co posłyszał, ale gdym wstała od fortepjanu, oczy jego miały blask bardzo piękny, który tym razem nie zagasł już szybko, ale oblał mię całą morzem nieznanego dotąd wzruszenia. Gdy odchodził, nic nie rzekł do mnie ustami, ale drżący uścisk jego ręki i wyraz twarzy z jakim popatrzył na mnie, powiedział mi tyle... tyle... że opisać tego nie jestem zdolną.

Nie wiem dla czego przez całą noc myśląc o tem wszystkiem, nad rankiem zapłakałam rzewnie, a gdy słońce zimowe weszło, nie zważając na chłód i wilgoć wybiegłam do ogródka i natężyłam słuch w stronę, w któréj miał się rozledz świst lokomotywy unoszącéj podróżnych w dalekie strony. Gdy go usłyszałam, objęłam ramionami wilgotne drzewo i znowu płakałam...

Chłód poranny, który wstrząsał mojem ciałem, i krople wody spadające na moję głowę z bezlistnych gałęzi drzew, otrzeźwiły mię. Wróciłam do domu i pierwszy raz oddawna ujrzałam w lustrze twarz moją bladą i zmęczoną, a oczy zarumienione od łez i niespania. Starałam się, aby nikt z domowych nie dostrzegł śladów wzruszenia jakiemu uległam. Na lekcje jednak szłam dnia tego wolniejszym jak zwykle krokiem, i dopiero nieubłagany Szapsal i gammy wygrywane przez uczennice moje, przywołały mię zupełnie do rzeczywistości.

Wracając do domu powtarzałam sobie: śniło mi się! i pragnęłam wmówić w siebie, że miałam tylko sen piękny, i zapomnieć o nim... Nie mogłam. Przypominały mi go nagłe ukłucia, które poczuwałm w sercu, błyskawice co mi się przesuwały przed oczami, fale tęsknoty co mi przypływały do piersi i tamowały oddech. A jednak zmuszona byłam ukrywać to wszystko starannie, aby nie zakłócać innym spokoju, tembardziéj że widziałam jak wzrok mojéj matki z trwogą zatrzymywał się na mojéj twarzy zmienionéj.

I miałam wtedy dni ciężkiéj walki. Niepamiętam ile tygodni i miesięcy trwały one, ale wiem że trwały długo, że zużyłam na nie wiele wysileń energji, łez tajemnych i powierzchownych uśmiechów, i że zaznaczyły się one w mem życiu pasmem chwil dziwnie splecionych z tajemnych płomieni i zewnętrznéj pogody.

XXII.

Życie człowieka, który każdodzienną pracą wyrabia sobie każdodzienny kawałek chleba, podobne jest do wody płynącéj cicho i równo; któż wie i dojrzy co tam dzieje się na głębinach? Może tam fale toczą się po dnie kamienistem z trudem i szumem głuchym, może powstają tam tysiące istnień tajemniczych, skrytych pod szarą osłoną powierzchni więdnących i umierających bez wiadomości o tem światła dziennego, które nie przenika tych głębin? Ale powierzchnia gładka i jednostajna świeci spokojną szybą, tak dziś jak wczoraj, i jutro jeszcze tak samo świecić będzie, aż chyba piorun zamąci ją gwałtowny, albo skwar słoneczny potokiem złotych iskier osypie.

Upływały tygodnie i miesiące, zmieniały się pory roku, a życie moje zewnętrzne nie miało dziejów, było ono tablicą na któréj długim szeregiem zapisywały się dnie jednostajne, a co najwięcéj dzieje tych których kochałam.

Jedyną ważną zmianą jaka zaszła w położeniu mojem było to, że wkrótce po przybyciu Zeni, otrzymałam stosowne do moralnych moich dążności i potrzeb pole do pracy. Jednocześnie prawie z Zenią przybyła do W. blizka krewna pana Michała, kobieta wysoko oświecona, bogata, i przywiozła z sobą dwie córki dla ukończenia wychowania, dla których poszukiwała stosownie uzdolnionéj nauczycielki, Zenia pochwyciła nawet tę sposobność stania mi się użyteczną, pośredniczyła między mną a krewną swego męża i po kilku rozmowach z matką dwóch podrastających panienek, dalszy kierunek ich umysłów został mi powierzony. Osiągnęłam więc nareszcie to czego pragnęłam i o co dotąd starałam się bezskutecznie. Doprowadzając do końca rozumnie rozpoczętą edukację nowych moich uczennic, nie z samą już grammatyką Szapsala i fortepianem miałam mieć do czynienia. Matka ich pragnęła, aby jéj córki otrzymały tak wszechstronne i gruntowne umysłowe wykształcenie, iżby na niem stale oprzeć się mogła moralna ich strona. Było to zapewne zadanie trudne, wymagające pewnego planu, wytrwałości i przenikliwości w zbadaniu natury i skłonności młodych istot; to też nie bez tajemnéj trwogi widziałam spełniający się cel moich życzeń, sądząc jednak że nie będzie zbyt zuchwałem z méj strony, jeśli podejmię się zadania do którego przygotowywałam się długo, a które spełnione sumiennie miało mi dać dopiero prawdziwe zadowolenie moralne

i pewność, że odpowiadam godnie powinnościom obranego przezemnie zawodu.

Obok tych moralnych korzyści i nadspodziewanie znacznych zysków finansowych, jakie wypływały dla mnie z tych nowo przyjętych obowiązków, były też pewne przykre strony, które jednakże wraz z dobremi przyjąć musiałam; codzienna praca moja zdwoiła się. Całe prawie dnie przepędzać miałam za domem, wieczorem zaledwie wracając do ukochanych moich, w to ciepłe, rodzinne kółko, które wlewało we mnie zapomnienie o wszelkich osobistych moich trudach i dolegliwościach. Na szczęście, o matkę moją zupełnie spokojną być mogłam, gdyż w nieobecności mojéj nie brakowało jéj ani serc kochających, ani starań troskliwych, i wtedy dopiero w całéj rozciągłości oceniłam dobrodziejstwa podobnego stowarzyszenia, opartego na wspólnéj pracy i wzajemnem przywiązaniu, jakiego przykład przedstawiało nasze ściśle złączone z sobą domowe gronko.

Zresztą matka moja zdawała się z każdym dniem bardziéj przywykać do bytu, jaki jéj wspólnemi utworzyłyśmy staraniami: co więcéj otoczona czynnym naszym i krzątającym się światkiem, otrząsnęła się ze zgnębienia, któremu dała się ogarnąć, i poczuła w sobie potrzebę zajęcia, ruchu, zużytkowywania godzin spokojnie dla niéj płynących. Nie trudno było o to. W gospodarstwie osób niezamożnych, pracowitych, nie mających na zawołanie licznego sług szeregu, każdemu i zawsze znajdzie się coś do uczynienia, a znaleść się mogło tembardziéj u nas, gdyż ja i Emilka po całych dniach oddając się wyłącznym naszym zajęciom, nie mogłyśmy ani w najmniejszéj cząstce przykładać się do utrzymywania domowego porządku i zarządu.

Binia zajmowała się nim ciągle z pomocą Madzi, która nietylko służyła za szwaczkę, krawczynię i modniarkę dla całego naszego domowego kółka, ale jeszcze zręcznemi swemi rączkami potrafiła coś i zarobić, tak, aby jak wyrażała się sama, utrzymanie jéj nie było dla nas ciężarem.

Piękne jéj hafty i ozdobne pełne smaku sporządzanie różnych strojów, dały się prędko poznać wielu osobom, i tak jak wyborne introlligatorskie roboty Emilki, poszły wkrótce w kurs pomiędzy wielkim światem miasta W., co przyznać trzeba, stało się głównie w skutek zabiegów Zeni, która z wrodzoną sobie żywością i zapałem, krzątała się około oddawania nam w szelkich możebnych przysług.

Matka moja co r az większy zaczęła brać udział w zajęciach Bini i Madzi. Z początku szło to bardzo powoli, stopniowo więcéj żar tem i od niechcenia, niż naprawdę i z przejęciem się. Raz jednak gdy wróciwszy po lekcjach do domu, znalazłam jeszcze wszystkich przy pracy, i sama nie oddając się spoczynkowi zaczęłam przeglądać kajeta moich uczennic, matka moja rzekła do nas:

— Gdy patrzę na was, moje dzieci, wydaje mi się jakobym była trutniem pomiędzy pszczołami.

— Jesteś królową naszego ula, droga ciociu! zawołała Madzia i złożywszy haft do koszyczka przybiegła aby ją uścisnąć. Innym razem gdy wróciłam do domu więcéj zmęczona jak zwykle, bo i przedmioty lekcji jakie wykładałam, dnia tego trudne były i wyczerpały mię, i pogoda na dworze była tak szkaradna, że w ciągu całéj drogi do domu, przedzierać się formalnie musiałam przez fale wichru i ostrego śniegu, matka moja patrzyła na mnie długo, a potem rzekła:

— Nadziwić się nie mogę, jakim sposobem taka wytrwała jak ty istota, może być córką takiego jak ja hultaja!..

— Mówiła to z uśmiechem i słowom swoim pragnęła nadać ton żartu, ale oczy jéj były wilgotne, a cały wyraz twarzy objawiał pewne zmięszanie i zawstydzenie.

Nazajutrz znalazłam ją zajętą haftowaniem sukni, którą bogata jakaś i lubiąca stroje pani, za pośrednictwem Zeni powierzyła naszéj miłéj haftarce i krawczyni. Madzia siedziała tuż obok, i zajęta taką samą robotą, z figlarnym uśmiechem spoglądała od czasu do czasu na pilnie pracujące ręce mojéj matki. Haftowała w istocie wprawnie i ładnie; gdy spostrzegła, że weszłam do pokoju, podniosła głowę i rzekła wesoło:

— Ty Wacławo, co tak zwykle napadasz na uniwersalne uczenie haftu młodych panien, powinnaś teraz pogodzić się z tą umiejętnością. Widzisz, posłużyła mi ona do wydobycia się choć trochę z roli trutnia, jaką pomiędzy wami odegrywałam.

Odtąd przez parę godzin codziennie dzieliła pracę z Madzią, coraz częściéj zaglądała do kuchennego i śpiżarniowego królestwa Bini. Ogródek nasz którego głównemi opiekunami były Madzia i Emilka, zaczynał ją coraz więcéj zajmować, a pewnego dnia znalazłam ją przy fortepjanie, z widoczną przyjemnością przeglądającą i probującą moje nuty.

Zaniedbałam muzykę, rzekła, a chociaż po prawdzie nigdy nie byłam artystką, muszę jednak odnowić znajomości z klawiszami. Dobrze to będzie niekiedy zagrać coś dla was, gdy będziecie usposobione do słuchania muzyki, albo w czasie twojéj przydłuższéj nieobecności, opowiedzieć fortepjanowi jak pilno mi zobaczyć znowu moją najlepszą córkę.

Z radością widziałam, jak cera jéj coraz zdrowszy i czerstwiejszy przybierała koloryt, jak coraz częściéj usta jéj wesołym otwierały się uśmiechem, jak oczy jéj przez godziny krótkie, ale przez długie tygodnie i miesiące, świeciły niezmąconą pogodą duszy, odbijającą się też i w obejściu się jéj z nami, które utraciło uprzednią swą gorączkową zmienność, a wróciło do stanu jednostajnéj łagodności i uprzejmości, jaki właściwy był jéj czułemu z natury i dobremu sercu.

Nie potrafiłabym opowiedzieć, jaką pięknością oblane było w mych oczach to odradzanie się mojéj matki. Zdawało mi się, że widziałam nową jutrzenkę młodości wstępującą na jéj oblicze.

I nieraz patrząc na nią, jak ze swą wspaniałą zawsze i wytworną postacią, z delikatnym rumieńcem zdrowia na białéj twarzy, z wesołym uśmiechem na pąsowych ustach, siedziała pomiędzy nami i błyszczący wzrok odrywając od roboty, którą trzymały śnieżne jéj ręce, wodziła nim po twarzach naszych z wyrazem niewypowiedzianéj czułości, pytałam siebie: czy ta kobieta tak młoda jeszcze, świeża i piękna, jest naprawdę moją matką czy tylko siostrą starszą i najdroższą przyjaciółką? Z niewypowiedzianą radością przypatrywałam się téj przemianie jakiéj uległa stopniowo, z tem większą radością, że czytałam w niéj wróżbę upragnionéj, szczęśliwéj przyszłości. W istocie bowiem matka moja zmieniona w swych wyobrażeniach, otrząśnięta z nałogów i zamiłowań nabytych w przeszłości, nie mogła prędzéj czy później nie podać ręki człowiekowi, który kochała w życia swego zaraniu, z którym łączyły ją zachodzące między niemi różnice, a do którego teraz coraz bardziéj podobną się stawała. A gdyby się tak stało, myślałam sobie nieraz, czegóżby mi już więcéj do zupełnego brakowało szczęścia? Wtedy na dnie mego serca odzywał się głos nieśmiały i mówił mi, że brakowałoby mi jeszcze czegoś... kogoś... alem nie słuchała tego zdradliwego głosu marzeń natrętnych, i całą duszą wpatrywałam się w ukazywany mi przez wyobraźnią obraz rodziców moich, pod jednym połączonych dachem, szczęśliwych i zgodnych, i siebie obejmującą ich oboje jednem spojrzeniem, nie zmuszoną do odstępowania jednego z nich przez miłość dla drugiego.

Oprócz tyle obiecującéj zmiany, jaka zachodziła w usposobieniach mojéj matki, nadzieje moje in ne jeszcze a niepłonne miały podstawy.

W rok może po przybyciu naszem do W., zawiązał się pomiędzy rodzicami memi pewien milczący, że tak wyrażę się, emblematyczny stosunek mi łyznać im obojgu, bo podtrzymywali go starannie.

Ojciec mój pisywał do mnie często, a oprócz tego przysyłał mi mnóstwo rzeczy, mogących służyć tak do użytku mego jak do uprzyjemnienia mi życia. Raz pomiędzy książkami jakiemi mię obdarzył, znalazłam jednę pięknie oprawną, z wyrytą na okładce cyfrą mojéj matki. Domyśliłam się od razu intencyi mego ojca, tembardziéj że książka owa była dziełem przez niego samego napisanem, a mającem za przedmiot jednę z najbardziéj będących na dobie kwestji społecznych, traktowaną właściwym mu sposobem, w którém głębokość poglądów i erudycji łączyły się z jasnością wykładu i ujmującym wdziękiem stylu. Pojęłam, że ojciec mój tę pracę swoją ofiarował w myśli mojéj matce, i pragnął aby ta ofiara doszła do niéj przez moje ręce. Upatrzywszy sposobną chwilę, z pewną jednak nieśmiałością zaniosłam mojéj matce ten dar przesyłany jéj od człowieka, który bądź co bądź był ojcem jedynego jéj dziecka a przez długie lata rozłączenia zapomnieć o niéj nie mógł. Każdy z łatwością odgadnie, jak szczęśliwą byłam, widząc na twarzy méj matki rumieniec wzruszenia, jak przez dni następne chciwie przebiegała karty książki, i jak pochłaniała w siebie szlachetne i rozumne myśli mojego ojca.

Wkrótce potem ujrzałam w ręku mojéj matki gustowną i pracowitą robotę, składającą się z kanwy, włóczek, jedwabiów i t. d. Wyszywała pilnie; kwiaty i arabeski wychodziły z pod jéj palców barwne, świeże, zda się napojone ożywczem tchnieniem jakie wiało na nie z ust jéj rozrumienionych i zbliżonych do nich śród pracy.

Gdy skończyła dzieło swoje, oddała mi je i rzekła:

— Poślij to twemu ojcu, Wacławo.

Głos jéj drżał trochę gdy wymawiała te wyrazy, przycisnęła głowę moją do piersi i ucałowała mię gorąco. Doprawdy, po raz pierwszy wątpiłam, czy uścisk jakim mię obdarzyła, mnie saméj był przeznaczony w jéj myśli... Przypatrzyłam się bacznie robocie mojéj matki, i pomiędzy barwnemi gałązkami wyszytego kwiecia, dostrzegłam jéj imię... Było to więc także milczące pozdrowienie...

Pozdrowienia podobne, powtarzały się potem w rozmaitych postaciach, doszło do tego, że pewnego dnia przyniosłam mojéj matce portret mego ojca, dla niéj przez niego przysłany, a wkrótce takiż sam podarunek słałam od niéj do niego. Tak więc przed oczami mojemi roztaczał się niby łańcuch złożony z milczących próźb i nieśmiałych pozdrowień, łańcuch, który wkrótce może połączyć miał z sobą tych, którzy mi byli drożsi nad życie.

(d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

I.

Któż nie zna słodkiéj, niczem nie zakłóconéj ciszy niedzielnego popołudnia? Pospolitsza ona po wsiach, otoczonych głębokim cieniem lasów, lub lekko kołyszącemi się łanami zbóż, po których młodzian przechodzi się ze swoją ulubioną w stroju niedzielnym, niż u nas po miastach, gdzie uroczystość dnia świątecznego, nie zdoła nigdy przytłumić wrzawy i hałasu. Któż jéj nie zna? kogo z nas nie wabiła mile ku sobie, jako zwiastunka prawdziwego wypoczynku po burzach boleści i po burzach szczęścia? Pokój, pokój! tak upragniony, tak bardzo poszukiwany... Jedni chcą cię uchwycić wśród fal i trosków życia codziennego, drudzy mniemają iż cię znajdą w cichym blasku wiejskiego sabbatu, a jednak ty mieszkasz tylko w głębi nieżądającego wiele a prawego serca, które umie przyjmować szczęście z pokorą, a boleść z odwagą.

Takie pokorne serce czułoby może z radością piękność i ciszę, którą niedziela rozpostarła po nad wsią Bonrath i rozległemi zakładami fabrycznemi, opodal nad rzeką wijącą się w dolinie szerokiemi krzywiznami. Pomiędzy rozmaitemi budynkami, dom mieszkalny odznaczał się większą okazałością, szerokiemi schodami prowadzącemi do dolnych pomieszkań, i wysokiemi zwierciadlanemi oknami, błyszczącemi w świetle słonecznem. Była to wspaniała ciężka budowa, któréj górne piętro krytemi gankami łączyło się na prawo i na lewo ze skrzydłami bocznemi. Wysoki komin prawego skrzydła wskazywał że tu była fabryka, w północnem skrzydle na dole mieścił się komtoar i pomieszkania komisantów, a spuszczone firanki w oknach pierwszego piętra kazały się domyślać, że i to było zamieszkałe. Piękny park, jedyna pozostałość dawnéj pańskiéj siedziby, zamienionéj na przybytek przemysłu, otaczał budynki aż po skrzydła boczne, gdzie zamykały go ozdobne sztachety żelazne. Zupełna cisza panowała na dziedzińcu, tu i owdzie któryś z dozorców w ubiorze niedzielnym stał swobodnie z fajeczką w ustach, lub przechadzał się koło sztachet, po za któremi widać było grupy drzew, zdobiące aksamitno zieloną murawę. Ale dziś, li tylko widokiem natury można się było nasycać lub zaspakajać ciekawość, cieniste bowiem chodniki były zupełnie puste. I my, chcąc czytelnikowi ukazać żyjącą istotę, musimy poprowadzić go na koniec wielkiego pięknego ogrodu, ku lekko zaszczepionéj bramie, zazamykającéj wysoki płot cisowy, a prowadzącéj na cmentarz.

Rzuciwszy okiem, łatwo dostrzedz głęboko pochyloną postać niewiasty, z głową opartą na marmurowych stopniach wspaniałego pomnika, który, dziwnie odróżniał się od wielu niewykwintnych krzyżów drewnianych i tablic nagrobkowych, sterczących wokoło pośród wysokiéj trawy. Kwiaty obficie aż do zbytku zdobiły to miejsce, gdzie boleść po umarłych przychodziła święcić swoje pamiątki, chociaż łzy, które dawniéj towarzyszyły tym darom miłości, wyschły już dawno. Wiosna co rok przynosi wiele tysięcy świeżych kwiatów, ale oko ludzkie gdy długo płacze, wyschnie i zdrętwieje, a wtedy nie może już wydawać pereł, jak wiecznie młoda natura kwiaty.

Donośny a dziwnie przenikający głos kościelnego dzwonka, przerwał ciszę i modlącą się przebudził. Powstała z klęczek wysoka, dumna, lekko tylko przygarbiona niewiasta, i ukazała surową, ponurą twarz, któréj włos zupełnie biały. skromnie zaczesany pod niewykwitnym czepkiem krepowym, nadawał raczéj wyraz surowy, niż nakazujący uszanowanie. Chociaż blask jéj oczu, może od długiego płaczu, wygasł zupełnie, a na twarzy, wokoło ust i skroni głębokie wyryły się bruzdy, można było postrzedz, że ta niewiasta, jeżeli nie miłem, to przynajmniéj pięknem była kiedyś zjawiskiem. Twarzy nie brakło wyrazu, i mimowoli trzeba było zwrócić uwagę na te ponure, wiele mówiące rysy, ale z przestrachem odwracało się oczy, gdy od czasu do czasu przybrały wyraz ostry i gniewny jak teraz, gdy dzwonek dał się słyszeć. Możnaby mniemać, że głos dzwonka powinien był pobudzić ją do pobożnéj zadumy, przeciwnie przerwał jéj rozmyślania, szła powoli ku małéj bramie parku.

Cicho wymawiane wyrazy i przytłumiony płacz kobiecy w pobliżu, wstrzymał jéj kroki. Stanęła, i z natężoną uwagą patrzyła przez krzewy nie zbyt gęsto liściem okryte, o które w téj zacisznéj ustroni opierała się ławeczka z mchu. Siedziała na niéj młoda dziewczyna i płakała rzewnie. Liczyła około dwudziestu dwa lat, a twarz jéj, w chwilach spokoju i wesołości zapewne przyjemna, wyrażała teraz głęboką boleść. Oczy jéj były nabrzmiałe od płaczu, a gdy w ciężkiem rozżaleniu rozpaczliwie załamywała dłonie, zdawała się domagać współczucia przystojnego, poważnego mężczyzny, który stał przed nią i widocznie podzielał jéj smutek. Nie był on już pierwszéj młodości, mógł bowiem liczyć przeszło lat trzydzieści, a twarz jego, w któréj malowała się dobroć i spokój, dziwnie zniewalała i wzbudzała zaufanie.

Nagle ucichł dzwonek: dziewczyna zerwała się i szybkiem ruchem odgarnęła z czoła włosy rozpierzchłe.

— Teraz idzie do kaplicy — przysięga! Ach nieszczęsny, nieszczęsny, a jam sama!

— Gertrudo, Gertrudo, napominał poważny mężczyzna i wziął ją łagodnie za rękę: nie uwłaczaj Bogu i ludziom. Ileż to miłości, ile ci wiernéj przyjaźni zostało jeszcze!

Dziewczyna milcząc potrząsła głową.

— Miłości nie ma wiele; jest tylko jedna, odpowiedziała głosem stłumionym. O, ja sama jedna!

Po jego twarzy przebiegł dziwny i smutny uśmiech.

— Sama jedna! powtórzył, ja to zawsze, zawsze takim byłem, Gertrudo. Nie znasz znaczenia tych słów. Jest jeszcze inna miłość, mówił zwolna, ale żywszym głosem, miłość matki i siostry. Jest także inne szczęście Gertrudo, szczęście rodzinne, szczęście dzieciństwa, którego samo wspomnienie sprawia radość. O tak, tak! ale taką miłość, takie szczęście, ten tylko prawdziwie ocenić potrafi, kto sam jeden na świecie jak ja, zawsze nadaremnie ich szuka.

Ukryta obok nieznajoma na te słowa widocznie zachmurzyła się, pochyliła głowę jeszcze bardziéj, a na jéj wargach zadrżała boleść.

— Byłem bardzo samotnym Gertrudo, zaczął znowu, i ciągle nim jestem. Mnie nikt wiary nie złamał, bo mi jéj nikt nie ślubował, i dopiero będąc już mężczyzną, poznałem ledwie przyjaźń. Ale jest ona potężną podporą, sam tego na sobie doświadczyłem. Gertrudo, dla tego ufaj jéj i oprzej się na niéj.

Znowu wziął za rękę płaczącą i pochylił się ku niéj. W jego głosie i spojrzeniu było coś uspakającego, ale nieznajoma śledziła każden ruch jego, jak gdyby co chwila oczekiwała czegoś nadzwyczajnego.

— Tak, przyjaźń może mieć wiele uroku, może być wierną i niezmienną, szeptała dziewczyna, — ale ty nie znasz miłości.

— Nie, rzekł pogrążony w zadumaniu, nie objawiła mi się, a teraz — już za późno.

Gertruda podniosła głowę i popatrzyła, chcąc może zaprzeczyć, bo już otwarła usta; nieznajoma zaś ukryta za krzakiem, tłumiąc oddech, przysunęła się o krok bliżéj.

W tem, po przeciwnéj stronie, zaszeleściały gałęzie i ukazała się miła twarzyczka młodego dziewczęcia, z ciekawie wytrzeszczonemi oczyma. Świeżość i wszystkie wdzięki młodości, odbijały się na aksamitnych policzkach i w promienistych oczach téj twarzyczki. Powiewna i smukła wysunęła się z krzaków jak sarna spłoszona i przybiegła do mężczyzny, który na jéj widok puścił rękę Gertrudy. Była jeszcze prawie dzieckiem, a przynajmniéj stała na téj granicy, która łączy wdzięki podlotka z wdziękami dorosłéj dziewicy; jakoż formy ciała były u niéj prawie zupełnie wykształcone, ale niewinność malująca się w jéj twarzy i świeży dźwięk jéj śmiechu, zdradzały wiek dziecinny.

— Ach Ryszard, zawołała tryumfująco, przecież cię znalazłam! Teraz już nie pójdę, dosyć się za tobą nabiegałam, że już tchu złapać niemogę. Tak pragnęłam, żebyśmy razem pojechali nową karjolką. Wiedziałeś o tem, dla czegóż poszedłeś tak daleko? I Gertruda niech jedzie jeżeli chce... ale Gertruda zapłakana, i ty Ryszardzie jakiś smutny, cóż się tu stało?

— Nic, co by mogło ciebie zasmucić, moja dobra Malwino, rzekł uprzejmie. Później pojadę z tobą: Gertrudę głowa boli i nie może. Idź naprzód, ja za tobą pośpieszę.

Gertruda powstała.

— Nie, nie, zostań pan, panie Hood, prosiła, i tak już iść miałam.

Gniewny, ostry wyraz przebiegł po bladych wargach nieznajoméj; tak ponuro spojrzała na dziecko, które przerwało rozmowę, iż to byłoby się przelękło, gdyby o tem wiedziało. Ale mała nie domyślała się niczego i po odejściu Gertrudy rozmawiała swobodnie. Nieznajoma także miała już odejść, ale nagle zmieniła zamiar i została w miejscu.

— Biedna Gertruda, mówiło piękne dziewczę, które mężczyzna nazwał Malwiną, siadając na miejscu tamtéj; sądzę że ciotka Sybilla bardzo zła dla niéj być musi. Żyć z ciotką Sybilą, rzekła wzdrygając się lekko, ach Ryszardzie, to musi być okropne. Wiem, że nie biłaby mię i nie morzyła głodem, a jednak jestem pewna, że musiałabym umrzeć, albo strętwieć obok niéj, co tak jest zimna, taka ponura i kamienna.

— Bo ty potrzebujesz światła słonecznego jak kwiaty, a wesołości i swobody jak młodość, rzekł żywiéj; to bardzo naturalne. Ale umrzeć nie tak łatwo jak sądzisz.

Nieznajoma staruszka konwulsyjnie zacisnęła dłonie, ale nie ruszyła się z miejsca.

— I to szczęście, powie piękne dziewczę, bo ze strętwienia można się przebudzić za ciepłym powiewem, nieprawdaż Ryszardzie?

— Zapewne, jeżeli się za długo nie leżało w strętwieniu, odpowiedział.

— Otóż to my ciebie tak zbudzili, mówiła z uśmiechem, bo cię bardzo, bardzo kochamy, a ja naj-

bardziéj. Ale na przyszłość strzeż się! ta kobieta błądząca tylko pomiędzy grobami a tak straszna, bliższą jest śmierci niż życia. Nie przybliżaj się do niéj.

Trudna do opisania gorycz, pomięszana jednak ze smutkiem, odbiła się w rysach podsłuchującéj staruszki.

Ryszard potrząsł głową.

— Ona jest bardzo, bardzo nieszczęśliwą. Malwino, te groby są wszystkiem, co ją jeszcze wiąże do ziemi.

— Wiem, wiem o tem Ryszardzie, rzekła tkliwie piękna dziewczyna; nie myśl żem bez czucia, mnie odpycha nie smutek, ale gorycz do niego przymięszana. Sama kocham i pielęgnuję te groby, choć ona nie wie o tem; kwiaty, które tu kwitną w doniczkach, prawie wszystkie sama wyhodowałam. Rzecz dziwna, że wszystko czego się dotknie ta kobieta, posmutnieje zaraz i zwiędnieje. Umarli tak samo, jak żywi nie chcą jéj miłości, nawet kwiaty, które pielęgnuje, znosi i układa, usychają. Całe to miejsce byłoby dzisiaj pustem, gdybym go potajemnie nie zdobiła ciągle w nowe kwiaty.

Staruszka nie mogła już dostać w miejscu. szybkim krokiem obeszła zarośla w około i stanęła przed rozmawiającemi.

— Słyszałam rozmowę, rzekła suchym, nieco gniewnym głosem, i waszym zdaniom sprzeciwiać się nie myślę. Ale groby moich dzieci zdobię ja sama, i tylko ja. Nikt w świecie nie ma prawa ani kochać ich, ani pielęgnować, tylko ja: czy słyszysz Malwino?

Dziewczyna zerwała się przestraszona i instyktowo chwyciła Ryszarda za rękę, uciekając pod jego opiekę, a jakby na dowód, że przy staruszce istotnie wszystko strętwieć musi, stała nieruchoma, nie rzekłszy ani słowa.

—Pani Steinlach, uspokajał staruszkę mężczyzna, Malwina chciała dobrze, chciała tem złudzeniem sprawić przyjemność nauczycielskiemu sercu pani, zdobiąc to miejsce, gdzie leżą ci, których pani najbardziéj kochałaś, chciała, abyś pani mniemała, że je zdobisz sama.

— Oszustwo! odpowiedziała staruszka ponuro.

— Ale zacne, odparł łagodnie.

Patrzyła na niego z rozpaczliwą prawie goryczą.

— Jak to zawsze umiesz znaleść jakieś usprawiedliwienie na wszelką przykrość, która mnie dotyka. Było to zuchwałem wdzieraniem się w moje jedyne dobro, w moją boleść, a w najlepszym razie, uroszczeniem.

Milczał chwilę, jakby się namyślał, postrzegłszy jednak, że dziewica ktorą trzymał za rękę drży i blednieje, rzekł spokojnie.

— Idź do domu, Malwino, pójdę za tobą.

Na dźwięk jego głosu, wymawiającego jéj imię, młode dziewczę przyszło do siebie i oddaliło się. Uszedłszy kilka kroków, stanęła i obejrzała się jeszcze raz. On zrozumiał jéj spojrzenie i skinął na nią.

— Za pół godziny pojadę z tobą karjolką, zawołał.

— Taka sama jak matka, mówiła staruszka pogardliwie, gdy dziewczę znikło w gęstwinie; próżna, niemądra, pełna uroszczeń. Wszędzie chciałaby zwracać na siebie uwagę i mieć pierwszeństwo, aby ją wszędzie podziwiali i pieścili, popsuta, jak oni wszyscy.

— Mylisz się pani, odpowiedział Ryszard spokojnie, jest to zwyczajne ale czarujące dziecko, które niczego nie szuka i nie chce, tylko tego co sama tak hojnie daje: trochę miłości. Chciałbym, abyś pani zadała sobie pracę poznać bliżéj Malwinę, a jestem przekonany, że znalazłabyś w niéj rozrywkę i pociechę, serce pani stawałoby się spokojniejszem; gdyby się powoli otwarło temu dziecinnemu bezwiednemu uczuciu, które ją do pani przyciąga i odpycha.

Staruszka mocno wstrząsnęła głową.

— Nie, nie! Ryszardzie, nienawidzę ich wszystkich, wszystkich, którzy tu nieprawnie wysiadują i rządzą, trwonią i niszczą to, co wieloletnia pracowitość innych nagromadziła. Czyż pomyślą kiedy o tem, jak niespodzianie dostała się im bogata posiadłość? Czyż są wdzięczni za to i korni? Czyż pamiętają, że ich szczęście zbudowane jest na zwaliskach mego? Czy szanują moją boleść,— czy dopełniają obowiązków,—czy kończą dzieła, które moi synowie im przekazali? Nie, i tysiąckroć nie! A ponieważ tego wszystkiego nie czynią ponieważ nieprawem dobrem źle rządzą, ponieważ na niem nie spoczywa błogosławieństwo, przeto mój Ryszardzie, wszystko pójdzie w niwecz.

— Nieprawe dobro, odpowiedział Ryszard z lekkim wyrzutem; to przecież tylko uprzedzenie pani, mieli przecież największe prawo. Nie szanują życzeń pani i przyzwyczajeń, bo im nie dajesz nigdy sposobności poznania ich,—a ten nadzwyczajny, pociąg do blasku i przepychu, który słusznie ganisz, ustanie z czasem.

— Gdy tego będzie konieczna potrzeba, zakończyła staruszka. Ale mnie się zdaje, że ta konieczna potrzeba już dawno nadeszła, bo coraz nowe długi zaciągają na fabrykę. Wszystkie te kosztowne i liczne ulepszenia nie wystarczą na pokrycie wydatków, i twoja niezmordowana gorliwość na nic się nie przyda.

— Mogłoby być lepiéj, przyznaję, odpowiedział Ryszard po chwili, ale ulepszenia także wiele kosztują. Na fabryce ciążą długi, to prawda, ale hipoteka jest jeszcze wyborna. Te piętnaście tysięcy talarów, których chwilowo potrzebują, mają wszelką pewność.

Rzucił szybkie, badawcze spojrzenia na ponurą twarz staruszki, a gdy ta milczała obojętnie, rzekł przezwyciężając się widocznie:

— Troszczę się i kłopocę niezmiernie o te piętnaście tysięcy talarów!

— Ponieważ właściciel fabryki o nic się nie troszczy, odpowiedziała z szyderczą pogardą. Cóż im przyszło z tego czołgania się przed szlachtą? Co pomoże Ferdynandowi ten zaszczyt, jaki mu wyświadczają panicze, ogrywają go z pieniędzy, które ty z trudem zgromadzasz? Nie oddadzą mu ich ani na pewną hipotekę. Georginia z takiem upokorzeniem spieszy na ślub do Amstetten, aby tylko pozyskać łaskę przyszłéj pani hrabiny, która Gertrudę uratowała od głupstwa. Czyż pan hrabia nie mógłby dać parę tysięcy talarów za to, że kobieta dotychczas przynajmniéj uczciwa, wdaje się z jego żoną? Niech zapłaci za ten osobliwy stosunek!

— To mój przyjaciel i człowiek honoru, odparł Ryszard tonem stanowczym, dalekim od wszelkiego upokorzenia. Ufam mu, chociaż nie mogę pojąć tego zagadkowego małżeństwa które dziś zawarł, które, może zgodnie z jego wolą, zdolne jest jednak uczynić go całkiem dla mnie obcym. Ale jakkolwiek blisko z nim żyję, a może właśnie dla tego, nie mogę prosić go o pieniądze, które dałby tylko przez przyjaźń dla mnie. Chociaż poddaję się chętnie wszystkim obowiązkom, które stanowisko moje na mnie wkłada, takie żądanie sprzeciwiałoby się memu uczuciu.

— Odemnie zapewne prędzéj byś ich zażądał? zapytała pani Steinlach właściwym ostrym tonem. Czy sądzisz, że z kobietą starą, opuszczoną, złamaną, z którą się nie robi ceremonji można być mniéj delikatnym?

— O, nie, odparł spokojnie. Bóg wie jakby mi ciężko było prosić pani, gdybyś nie była odgadła moich zamiarów, nim je oznajmiłem. Ale nie dla siebie proszę, wszakże to krewni pani, za którymi się wstawiam.

— Ryszardzie, rzekła staruszka, i poraz pierwszy w szorstkim jéj głosie dały się słyszeć łagodniejsze, boleśniejsze dźwięki. Wiesz przecie, że tylko wtedy mogłabym takiéj prośbie zadość uczynić, gdyby chodziło o twoje własne dobro. Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, powiedz słowo, a będziesz je miał, nawet nie spytam: na co i do czego? Ale to lekceważenie i ta obojętność, którą mi codzień, co godzina okazujesz, że się bezemnie i mojéj pomocy obejdziesz, ta duma względem mnie, to pogardzenie wszystkiem cobym zrobić mogła, czyni mię co dzień większą ich nieprzyjaciołką. Nie dla nich nie zrobię, Ryszardzie.

Ryszard patrzył przed siebie z wyrazem smutku, widocznie staczał walkę, w któréj jednak zwyciężyła jego uczciwość, pogardzająca wszelkiem udawaniem.

— Doznawałem opieki pani, gdy jéj potrzebowałem, odparł spokojnie, gdy bez rodziców i rodziny, ubogi i ratunku sobie dać niemogący, skazany na poddanie się miłosierdziu obcych, do domu pani przyszedłem. Dając mi wychowanie, dałaś mi pani siłę i środki, abym się mógł obchodzić nadal bez téj pomocy i zostawić ją tym, którzy nie są pani obcymi, a którzy téj pomocy potrzebują.

Mówił spokojnie, tak, jak się wyraża wdzięczność wyrozumowaną, bez wszelkiego goręszego, serdeczniejszego uczucia.

— Staruszka poznała się na tem zapewne, bo westchnąwszy głęboko, rzekła z podobną jak pierwéj szorstkością.

— Oni mi są obcy, Ryszardzie, chociaż noszą to samo nazwisko co ja. Jeżeli ich żałujesz, to bym ci radziła, abyś pomówił z hrabią Amstetten.

— Pani! odpowiedział z zadziwieniem, pani mi to radzisz na prawdę? Wiem, że nadzieje, które Amstetten i Gertruda uawzajem w sobie pokładali, były pani wiadome, chociaż ich nie pochwalałaś. A pani mi radzisz, abym go prosił o pieniądze dla jednego z członków rodziny Steinlach, dla najbliższego krewnego pani,—i to w chwili, gdy on opuścił inną osobę, którą pani zaliczasz także do swojéj rodziny? Zdaje mi się, że ze względu na stosunek, jaki Amstetten zajął względem pani, byłoby to dla niéj upokarzającem.

Pani Steinlach spojrzała ostro na niego, oczy jéj zaczerwienione od płaczu, zabłysły na chwilę gniewem.

— Nie mam rodziny, ani żadnych krewnych, rzekła szorstko, inaczéj zrobiłabym co dla nich, bo mogę. Amstetten wie o tem, i chociaż ma wiele pretensji a mało rozumu, nie będzie przecież myślał, iżbym się przed nim uniżyła chociaż oni będą żebrać. Co się tyczy Gertrudy, wie on, że tak zwane jego wiarołomstwo, jest dla mnie przysługą obowiązującą do wdzięczności. Nie wstrzymuj się więc przez wzgląd na mnie, jeżeli tylko dla tego chcesz go prosić o pożyczkę, któréj celem jest podtrzymywać pychę.

— Ta pożyczka nie ma służyć do podtrzymania pychy, lecz do tego, abym moją uczciwą pracą mógł zachować rodzinie fabrykę i całą posiadłość.

— Ale dla kogóż to pracujesz Ryszardzie? spyta-

łą gniewnie; dla obcych, dla głupich? To wszystko, wszystko mogłoby być twojem.

Nadaremnie czekała na odpowiedź, poczem rzekła z żywszem poruszeniem:

— Nie chcesz tego, cóż robić? Jesteś panem twojéj woli, dajmy więc temu pokój.

— Nie pomożesz więc pani swoim krewnym? spytał nieśmiało.

— Nie! odrzekła krótko, niech się udadzą do bliższych. Malwina nie jest już dzieckiem, młodszy Amstetten brat hrabiego, co niby wiarołomnym się okazał względem Gertrudy, powiedział jéj niedawno że chce sprzedać swój tytuł hrabiowski i że za milion można go kupić. Spróbuj spekuluj pieniędzmi które masz i jeszcze dostaniesz, może zdołasz przywrócić fabryce dawną sławę, i zebrać tyle ile potrzeba na kupno tytułu dla Malwiny. Zdaje mi się, że Amstetten może ryzykować piętnaście tysięcy talarów na kapitał zakładowy, w nadziei zyskania przez nie dla brata swego panny miljonem uposażonéj...

Ryszard wielkiemi oczami wpatrzył się w mówiącą.

— Malwina jest jeszcze dzieckiem, rzekł z głębokiem westchnieniem i jakby sam do siebie — dzieckiem, które jeszcze wcale nie pojmuje niedelikatnego żartu Amstettena.

— Ale go niezapomni, odpowiedziała stara, upierając się przy swojem, to rodzona córka swojéj matki.

Tak rozmawiając zbliżyli się do bramy, oddzielającéj park od dziedzińca. Woźnica zajechał właśnie z karjolką Malwiny, która całkiem gotowa do drogi, stała w pobliżu.

Pani Steinlach nie chcąc się z nią spotkać, nie poszła na dziedziniec, lecz udała się drogą boczną, która środkiem parku ciągnęła się wokoło domu. Ryszard chciał jéj towarzyszéć, ale odmówiła.

— Nie trzeba, rzekła zimno, a wskazując na Malwinę, dodała: widzisz przecie że naiwne dziecko, które nie chce niczego prócz trochę miłości, czeka właśnie, aby się jego życzenia jak najprędzéj ziściły.

Wkrótce zniknęła pomiędzy drzewami, a Ryszard udał się na dziedziniec. Gdy karjolka zajechała, a Malwina spojrzała na niego z tryumfem dziecinnéj radości, rozeszły się chmury na jego czole. Pomógł jéj wsiąść i dał lejce w rękę.

— Z jakąż ty dumą zasiadłaś Malwinko, odezwał się z uśmiechem i czułem spojrzeniem.

— Jak hrabina, rzekła wesoło; doprawdy Ryszardzie, nie chciałabym piękniejszego zaprzęgu, choćbym jutro nią zostać miała.

Milczał, ale gdy znowu podniósł oczy, spojrzenie jego nie było już tak jasne jak przedtem. Był ciągle pogrążony w zadumaniu, podczas gdy ona śmiała się i żartowała. Hrabiną! łatwo to wymówić, ale Malwina potrzebowałaby miljona na kupienie tego zaszczytu.

II.

Kto na samotnych ścieżkach parku, lub idąc na cmentarz spotkał kobietę z srebrnym włosem i skamieniałemi od bólu rysami, nic dziwnego, że cofnął się z trwogą i poszedł w stronę zkąd zalatywały wesołe głosy, śmiechy i śpiew, tak często dające się słyszeć w ogrodzie, lub na szerokim tarasie po drugiéj stronie domu. Tu mieszkał teraźniejszy właściciel fabryki, młody pan Steinlach, jak go nazywano, i jego młoda chciwa rozrywek małżonka, która zawsze miała gości i zawsze się o to starała, aby tym gościom ile możności pobyt uprzyjemnić. Stara pani Sibilla Steinlach, jak wyszukiwała zawsze najsamotniejszych i najposępniejszych ścieżek, tak też zamieszkiwała najodleglejsze skrzydło, zwrócone ku północy, bez światła słonecznego, zimne i smutne jak ona sama.

Niegdyś było całkiem inaczéj; był czas, że lubiła światło, i słońce i kwiaty, mieszkała tam niżéj w pięknem, wesołem zabudowaniu, a na tarasie brzmiały śmiechy dziecinne. Tam bawiło się zwykle trzech pięknych, dziarskich chłopców, jéj synów, a ona, dumna matka, nigdy się im do syta napatrzeć nie mogła i nigdy nie przestawała układać plany na przyszłość. Ale wszystkie te marzenia w proch się rozwiały!

Pani Steinlach gdy była dzieckiem, ani marzyć nie mogła o blasku i rozkoszach. Była córką ubogiego urzędnika. Ojciec nic jéj dać nie mógł, prócz dobrego wychowania, aby w razie potrzeby mogła pracować jako nauczycielka; słusznie więc poczytywała to prawie za szczęście, gdy się jéj nadarzyła sposobność oddać rękę kupcowi wcale nie zamożnemu. Życie ich niewystawne, skromne, kiedy niekiedy zamąciła tylko choroba męża. Wolna od próżności, nie pragnęła nigdy ani zbytku, ani bogactw; a chociaż przy swojem wykształceniu umysłowem, odpowiedniejsze byłaby znalazła miejsce na innem stanowisku, to przecież czuła się zupełnie zadowoloną ze skarbu, którym ją Bóg obdarzył, dając jéj trzech synów. Nie wiedziała jeszcze ku jakiemu powołaniu skierować wychowanie najstarszego syna, gdy niespodziewany wypadek przyspieszył ostatecznie w tym względzie postanowienie.

Mąż jéj nie miał krewnych, prócz starszego od siebie brata, który od wielu lat mieszkał w St. Louis i tam, jak mówiono, zebrał znaczny majątek. Był on o piętnaście czy szesnaście lat starszym od młodszego brata, a chociaż po swojem przesiedleniu się do Ameryki, dwa razy odwiedził krewnych, nigdy nie przywiózł nikogo ze swéj rodziny. Żona jego już dawno nie żyła, a córka jedynaczka była tak delikatna, że ani myśleć mógł o zabraniu jéj z sobą w daleką podróż morską. Nakoniec przybył po raz trzeci i oświadczył, że pozostanie już w ojczyznie. Córka umarła przed rokiem, o czem wspomniał krótko, usiłując widocznie uniknąć smutnego wspomnienia. Braterstwo przyjęli go z prawdziwem i serdecznem współczuciem, przyczem odezwała się zwolna u pani Steinlach słodka nadzieja, wynikająca oczywiście z najczystszéj miłości macierzyńskiéj, że kiedyś ujrzy synów swoich otoczonych bogactwem, jakie spadnie na nich z dziedzictwa po zamożnym a bezdzietnym stryju. Uczucie to nie odrazu się odezwało; ale im powolniéj wzrastało, tem bardziéj się zakorzeniało. Życie ze szwagrem było jak pierwéj spokojne i skromne. Nie kochał się w zbytku, i krewni jego nie okazywali pociągu do życia na wyższą stopę; porządek, gospodarność, skrzętność, regularny podział pomiędzy pracą a rozrywką, prostota i statek, — wszystko to szczególnie podobać się musiało prawowiernemu republikaninowi, który życie swoje strawił tylko na pracy i pełnieniu obowiązków.

Te proste, nieco chłodne formy jego umysłu, znalazły doskonałe odbicie w charakterze pani Steinlach, bardziéj poważnym niż łagodnym. Przybysz zgadzał się więc z bratową daleko bardziéj niż z bratem, który był nieco marzycielem, i nie zawsze tak gorliwym i nieugiętym w pracowitości i pełnieniu obowiązków, jak tego wymagał starszy pan Steinlach po ojcu rodziny.

Właśnie ten pociąg i gorliwość, aby działać i być użytecznym dopóki siły starczą, nie pozwoliły prawie sześćdziesięcioletniemu człowiekowi spocząć na zyskanych już owocach zacnéj pracy. Pewnego dnia oznajmił braterstwu niespodziewaną wiadomość, że nabył na własność przędzalnię bawełny, którą zamierza urządzić na wielki rozmiar, i bratu, którego handel pokrywał zaledwie potrzeby rodziny zaproponował korzystną przy nowym zakładzie posadę. Pani Steinlach namówiła męża, który niechętnie wyrzekał się swojéj niezawisłości, a w duchu widziała już najstarszego syna panem ogromnego mienia. Było to nawet tak naturalnem, że dzieci kierowano według życzenia wuja, wychowywano według jego zasad, a i jego ile się dało oswajano zawczasu z tą myślą.

Przędzalnia była położona w dobrach szlacheckich; a chociaż pan Steinlach sprzedał znaczną część niepotrzebnych gruntów, pozostał przecież piękny park i całe sielkie otoczenie, co wszystko bardzo było pożądanem dla młodszego brata. Kupiec postanowił więc przenieść się z żoną i dziećmi do fabryki ale zmianą tą losu swego nie długo się cieszył, bo w kilka miesięcy niespodziewanie zakończył życie.

Wdowa z synami pozostała w fabryce, pobierała znaczną pensją którą jéj szwagier na zasadzie kontraktu wypłacał, i żyła oddana zupełnie wychowaniu dzieci, które stryj pokochał serdecznie. Wszędzie też uchodziły za jego dziedziców, matka była tego najzupełniéj pewną, a gdy pewnego razu szwagier zrobił jéj uwagę, aby dzieci wychowywała starannie, bo nie mając majątku, tylko na swoje zdolności liczyć mogą, nie zważała na to, jakby wcale jego myśli nie rozumiała.

Minęło już pięć lat, odkąd pani Steinlach pozostawała w tym stosunku ze swoim szwagrem. Syn jéj liczył już lat siedmnaście. Obrał sobie zawód kupiecki i zaczął właśnie pracować w pewnem większem mieście fabrycznem, gdy nagła choroba stryja powołała go nagle do domu. Matka wezwała go nie tylko jako dziecko, które powinno pospieszyć do łoża swego dobroczyńcy, lecz także jako dziedzica i następcę, który ma objąć zarząd silną ręką, aby fabryka nie stanęła w ruchu.

Wbrew oczekiwaniu jednak pan Steinlach nie umarł, lekarz zrobił nadzieję, że unikając wszelkich wzruszeń, zdoła jeszcze odzyskać zdrowie, a pani Steinlach i jéj synowie, rzeczywiście do stryja przywiązani, a zarazem pewni jego miłości i majątków, nie szczędzili troskliwości i starań, aby drogie jego życie przedłużyć i miłem uczynić.

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dalszy ciąg).

— Zupełne dziecko jesteś, odpowiedział Wieretief, jednakże wstał i przyszedłszy do okna przy którem siedziała Marja, zaczął prowadzić ręką po szybie i naśladować jak chłopiec łapie muchę. Dokładność z jaką naśladował jéj żałośny i przerywany pisk i brzęczenie, była zadziwiającą. Zdawało się że rzeczywista, żywa mucha wymyka mu się z pod palcy. Nadzieja roześmiała się i po trochu roześmieli się i inni w pokoju. U jednéj tylko Marji rysy twarzy nie zmieniły się, usta nawet nie poruszyły. Siedziała ze spuszczonemi oczyma, podniosła je potem i spojrzawszy poważnie na Wieretjewa, odezwała się niewyraźnie:

— Co za upodobanie robić z siebie trefnisia?

Wieretief natychmiast odstąpił od okna, zatrzymał się przez chwilę na środku pokoju, potem wyszedł na taras a ztamtąd do ogrodu, w którym zupełnie już było ciemno.

— Co za figlarz ten Piotr Aleksiejewicz, zawołał Jegor Kapitonicz uderzywszy z zamachem siódemką kozerną asa przeciwnika, — prawdziwy figlarz!

Nadzieja wstała, i zbliżywszy się pospiesznie do Marji zapytała ją półgłosem:

— Cóżeś powiedziała bratu?

— Nic, odpowiedziała.

— Jak to nic, nie może być! I po chwili wzięła Marję za rękę i zniewoliwszy do podniesienia się, wyszła z nią razem do ogrodu.

Włodzimierz Astachof patrzył za niemi z pewnem zdziwieniem. Nieobecność ich jednak trwała niedługo; po upływie kwadransa wróciły obie, a z niemi i Wieretief.

— Jaka śliczna noc! zawołała wchodząc Nadzieja, jak przyjemnie w ogrodzie.

— Ale, Marjo Pawłówno! odezwał stę Astachof, racz mnie objaśnić, czy to ja panią widziałem wczoraj w nocy w ogrodzie?

Marja spojrzała mu szybko w oczy.

— Nawet, o ile mogłem dosłyszeć, deklamowałaś pani *Anczara* Puszkina.

Wieretjef zlekka pochmurzył się i zwrócił również wzrok swój na Astachowa.

— To ja byłam, rzeczywiście, rzekła Marja, lecz wcale nie deklamowałam; ja nigdy nie deklamuję.

— Może być, że mi się zdawało tylko, zaczął Włodzimierz Astachof; jednak...

— Rzeczywiście że to tylko zdawało się panu, przerwała zimno Marja.

— Co to za *Anczar*? spytała Nadzieja Aleksiejewna

— To pani nie znasz? rzekł Astachof: — wiersz Puszkina. *Na gruncie wyschłym i płonnym*,—przecież pani przypominasz sobie?

— Nie pamiętam co to znaczy ten *Anczar* — zdaje się drzewo trujące.

— Tak jest.

— Jak *datury*... pamiętasz, Maniu, jak piękne były u nas datury na balkonie przy świetle księżyca, ze swymi białemi kwiatami. Pamiętasz jaki piękny płynął z niego zapach, słodki, pociągający a zdradny zarazem.

— Zdradny zapach! zawołał Astachof.

— Tak jest, zdradny. Czemu się pan dziwisz? Powiadają że zapach ten niebezpiecznym jest i pociągającym nadzwyczaj. Dlaczego złe może być pociągające? Złe nie powinnoby być pięknem.

— Oho, co za górne myśli! zrobił uwagę Wieretief; jakże daleko oddaliliśmy się od poezji.

— Wiersz ten wypowiedziałem wczoraj Marji Pawłównie, przerwał Astachof, bardzo jéj się podobał.

— Ach, powiedz go pan, proszę, odezwała się Nadzieja.

— I owszem. I Astachof zedeklamował *Anczara*.

— Zbyt napuszono, rzekł jakby mimowolnie Wieretjef, skoro tylko skończył Astachof.

— Co, poezja zbyt napuszona?

— Nie, nie poezja.... wybacz pan, ale zdaje mnie się, że nie była z dostateczna prostotą wypowiedziana; zresztą mogę się mylić.

— Nie, nie mylisz się, rzekła Nadzieja dobitnie.

— Spodziewałem się i téj pochwały, bo ja w twoich oczach jestem genjuszem, człowiekiem najzdolniejszym, który wszystko umie, wszystko mógłby robić, lecz, niestety! jest leniuchem i nic mu się nie chce. Wszak prawda?

Nadzieja tylko kiwnęła głową.

— Nie będę się sprzeczał z panem, lepiéj się na tem znać musisz, odrzekł Włodzimierz Astachof nieco obrażony — to nie moja rzecz.

— Omyliłem się, wybacz pan, spiesznie odezwał się Wieretjef.

Tymczasem preferans ukończył się.

— Ale, ale, przemówił Ipatof wstając: — panie Astachof, jeden z tutejszych obywateli, sąsiad, najprzyjemniejszy i najzacniejszy człowiek, Gabriel Stepanicz Akulin, poruczył mi prosić pana: czy nie raczysz być u niego na balu; to jest ja to tak mówię dla piękności stylu, na balu, a po prostu na wieczorze tańcującym, bez ceremonji. Byłby sam osobiście u pana niewątpliwie, lecz obawiał się być natrętnym.

— Bardzo wdzięczny jestem panu Obywatelowi, rzekł Astachof, — lecz koniecznie muszę wracać do siebie....

— A kiedyż to pan myślisz że się ten bal odbędzie? przecież to Gabriela Stepanicza jutro imieniny. Jeden dzień cóż znaczy, —jakżeż on rad będzie! A tylko dziesięć wiorst od nas; jeżeli pozwolisz pan, to go zawieziemy.

— Ja sam jeszcze niewiem, rzekł Astachof: a pan czy jedziesz?

— Z całą rodziną! I Nadzieja Aleksiejewna, i Piotr Aleksiejewicz, wszyscy jadą!

— Jeżeli pan chcesz, to możesz mnie zamówić do piątego kontredansa, odezwała się Nadzieja Aleksiejewna, bo cztery pierwsze mam już zamówione.

— Pani bardzo łaskawa.... a do mazura czy pani nie jesteś równie już zamówiona?

— Ja? niech sobie przypomnę... zdaje mi się, że jeszcze nie......

— W takim razie, jeżeli pani tak dobra, pragnąłbym mieć ten zaszczyt....

— A więc pan jedziesz z nami? wybornie, przymuję zatem zaproszenie.

— Brawo! zawołał Ipatof. Panie Astachof zobowiązałeś mię. Gabriel Stepanicz nie będzie się posiadał z radości. Wszak prawda Janie Iliczu?

Jan Ilicz podług swego zwyczaju chciał nic nie odpowiedzieć, lecz namyślił się i głośno wyraził swoje potwierdzenie.

— Zkąd przyszła ci ochota, mówił w godzinę po tem Piotr Wieretjef do siostry, siedząc obok niéj w lekkiéj bryczce, którą sam powoził: zkąd przyszła ci ochota narzucić się temu papinkowi do mazura?

— Mam swoje plany odrzekła Nadzieja.

— Jakie plany?

— To moja tajemnica.

— Oho!

I uderzył lekko biczem konia, który zaczął strzydz uszami i opierać się, bo się przestraszył cieniu padającego od wysokiego krzaku czeremchy, na drodze słabo oswieconéj księżycem.

— Wszak ty będziesz tańczył z Marją? spytała nawzajem Nadzieja brata.

— Tak jest, odpowiedział obojętnie.

— Tak jest, powtórzyła za nim Nadzieja z wyrzutem. Wy mężczyzni, dodała po chwili — nie zasługujecie rzeczywiście na przywiązanie kobiet przyzwoitych.

— Czy tak sądzisz? — No, a ten petersburczyk, ten papinek, czy zasługuje?

— Prędzéj niż ty.

— Otóż masz!

I Piotr Wieretjef, westchnąwszy, zaczął deklamować:

Jak ciężki kłopot, o Boże,
Być bratem dorosłéj siostry.....,

Nadzieja Aleksiejewna roześmiała się.

— O, wiele też masz ze mną kłopotów, nie ma co mówić. To ja raczéj mam kłopot z tobą.

— Czy tak? wcale się tego nie spodziewałem.

— Ja nie mówię o Mani.

— A o czemże?

Twarz Nadziei zlekka posmutniała.

— Ty sam wiesz, powiedziała zwolna.

— A rozumiem! No, cóż robić, moja Nadziu, lubię wypić z dobrym przyjacielem, przyznaję się, lubię.....

— Dosyć, bracie, proszę cię nie mów tak... to nie są żarty.

— Tram-tram-tam-pum! zamruczał Piotr Wieretjef przez zęby.

— To twoja zguba, a ty żartujesz.

— „Chłopiec sieje żyto, żinka każe mak" głośno zaspiewał i uderzył konia lejcami, zmuszając do szybszego kłusa.

IV.

Przyjechawszy do domu Wieretjef, nie rozbierał się; w dwie godziny później, zaledwie pierwszy świt błysnął na niebie, już go nie było w domu.

Na pół drogi pomiędzy majętnością Wieretjewa i Ipatówką, nad szerokim parowem, znajdował się niewielki brzozowy lasek, tak zwana *szkółka*. Młode drzewka rosły gęsto, nigdy jeszcze siekiera nie dotknęła się ich kształtnych pieńków, cień z drobnych liści, nie mocny, lecz wszędzie, rozciągał się nad miękkim i delikatnym trawnikiem, upstrzonym złotemi główkami jaskru, białemi punktami leśnych dzwonków i malinowemi gwiazdkami dzikiego goździka. Nie wysoko jeszcze wzniesione słońce, zalało całyfgaj silnem lecz nie rażącem światłem; wszędzie błyszczały krople rosy, które gdzieniegdzie zapalały się od światła i rumieniły: wszystko oddychało świeżością, życiem i tym niewinnym i uroczystym wdzikiem pierwszych chwil poranku, kiedy wszystko tak jasne i tak milczące. Słychać było tylko po stronach głosy skowronków nad dalekiemi polami, w samym gaju także kilka ptaszat nuciło spokojnie swe krótciuchne piosenki i zdawało się przysłuchiwać, czy się im one udały.

(d. c. n.)

N. 1. Suknia z tuniką i karoczkiem dla młodéj panienki.

Garnirunek do stanika, karoczka i tuniki białéj pikowéj, stanowią rzędy plisek z których wyższe mają $1\frac{1}{2}$ cent. szerokości i naszyte są ząbeczkami z tasiemki, niższe zaś są 2 cent. szerokie.

Po nad plisami dane wyszycie z białego sutaszu.

Brzeg oszyty jest kuleczkami z białéj bawełny. Stanik pod szyję zapinany na guziki z konchy perłowéj; rękawy zakończone wolantem. Kołnierz chusteczkowy z tyłu zszyty na zębie, jest 30 cent. długi, 4 cent. szeroki z tyłu a 8 i pół z przodu. Przedni bryt tuniki ma 33 i pół cent. środkowéj, 25 cent. bocznéj długości; szerokość zaś wynosi 22 cent. u dołu, 15 cent. u góry. Boczne bryty wycięte u dołu w dwa zęby liczą po 33 i pół cent. środkowéj, 28 cent. tylnéj długości 35 cent. u dołu, a 27 cent. u góry szerokości. Dwa tylne bryty wycięte równie jak przedni w zęby, mają długości 38 cent. w środku, 25 cent. z boku, szerokości zaś 22 cent. u góry, a 29 cent. u dołu. Te ostatnie równie jak i boczne od połowy marszczą się u góry. Karoczek wszyty do paska z plisek, składa się z czterech pojedynczych części. Dwie przednie patki kraje się na 15 cent. szerokości u dołu, 10 cent. w górze; 11 i pół cent. długości z przodu 6 i pół cent. z tyłu. Obie tylne połowy karoczka ułożone u góry w dwie fałdy, mają 6 i pół i 16 cent. bocznéj długości 26 i pół dolnéj, a 20 c. górnéj szerokości. Szarfa zakończona jest haftowanym szlaczkiem i plecioneczką w ząbki.



N. 1. Suknia z tuniką i karoczkiem dla młodéj panienki.



N. 2. Słomkowy kapelusz dla małéj dziewczynki.



N. 3. Kapelusz słomkowy dla chłopczyka.



N. 4. Kapelusz „Pamela“ z szarfami do wiązania.

N. 2—6. Letnie kapelusze dla kobiet i dzieci.

N. 2. Okrągły słomkowy kapelusz dla małéj dziewczynki.

Brzeg cienkiego, czarnego kapelusza obejmuje wązka czarna aksamitka; 4 cent. szeroka aksamitka ułożona z boku w półokrągłą kokardę, otacza główkę. Z kielicha białéj róży wpiętéj w kokardę, wychodzi suta stojąca kitka.

N. 3. Kapelusz dla chłopca.

Odpowiednio do koloru ubrania, przybiera się biały bastowy kapelusz czarną lub kolorową wstążką. Model przybrany jest 3 cent. szeroką, bronzową aksamitką, opasującą główkę i obejmująca rondko, podniesione z boku aksamitnym węzłem z długiemi końcami.

N. 4. Kapelusz Pamela z szarfami do wiązania.

Brzeg fasonika z białéj, włoskiéj słomy, jest z wierzchu i od spodu oszyty lila aksamitką. Z prawéj strony przystraja główkę skos aksamitny lila, lekko przewijany, 7 cent. szeroki. Czarny koronkowy woalik, 40 cent.



N. 5. Okrągły kapelusz „Pamela.“



N. 6. Kapelusz marynarski.

długi, 30 cent. szeroki, przemarszczony i przypięty do główki aksamitną kokardą lila. Z lewéj strony przystraja kapelusz gałązka lila bratków, z brązowymi liśćmi, pączki różane i biały kwiat cierni.



N. 9. Fartuszek z garnirunkiem z ząbków.

Szarfy do wiązania są z lila wstążki 7 cent. szerokiéj; podniesienie rondka z przodu, zapełnione jest marszczoną bufą z czarnego tiulu.

N. 5. Okrągły kapelusz pamela.

Na rondku kapelusza z białéj słomy, naszyty szeroki skos aksamitny.

Główkę otacza przewijana aksamitka, z boku upięta w długie pukle. Zgrabnie złożony koronkowy welonik, podpięty gałązką róży dopełnia przybrania.

N. 6. Okrągły marynarski kapelusz.

Skromna ta forma tak jest ulubioną przez młode osoby iż co rok z małą od mianą wraca do mody.

Tego lata kapelusze marynarskie robią z czarnéj słomy i przybierają wskazanym na wzorze sposobem, szeroką rypsową czarną stążiką i czarnym piórem Często także przybranie stanowi gałązka kwiatów kolorowcyh i okazałe pióro.

N. 7—8. Książka do przechowywania zasuszonych kwiatów.

Materjał: cienka biała tektura; naturalne zasuszone gałązki liści; tusz chiński; mała szczoteczka; grzebyczek, cienkie igły (N. 12.)

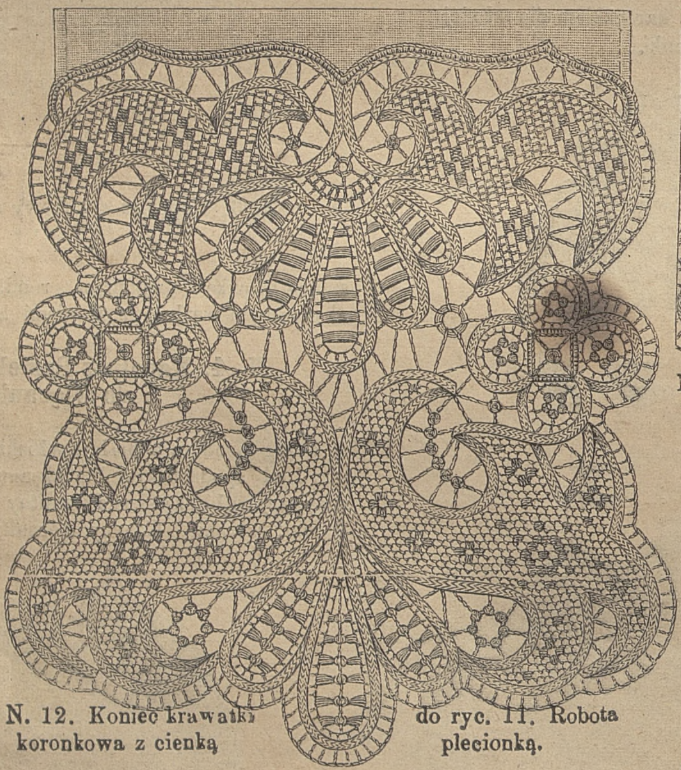
Na białem papierze przybitym do rejsbretu, przypina się listki od kwiatów już zasuszonych lub też papierowe foremki tych listków. Następnie dobrze rozrobionym tuszem napryskuje się delikatnie lecz gęsto, całe tło pozostające między listkami. Kiedy tuszowanie już przeschnie



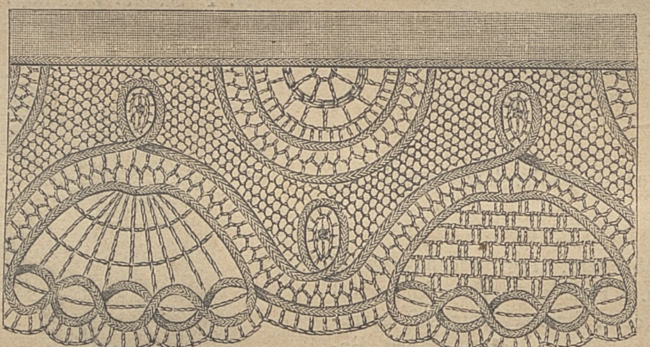
N. 7. Książka do przechowywania zasuszonych kwiatów.



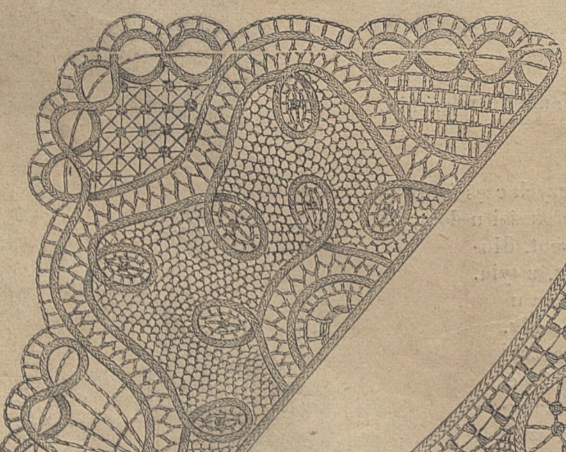
N. 8. Zbiór rozmaitych kwiatów zasuszonych.



N. 12. Koniec krawatki do ryc. 11. Robota koronkowa z cienką plecionką.



N. 14. Garnirunek rękawka do kołnierzyka ryc. 13. Robota koronkowa i cienka plecionka.



N. 13. Narożnik wykładany do kołnierzyka stojącego.



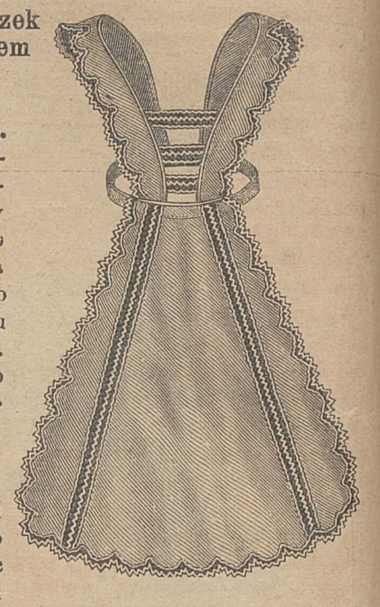
N. 11. Kołnierzyk marynarski z koronki Irlandzkiéj ręcznej roboty. Kołnierzyk z krawatką ryc. 6 w N. 29 Ty. Mód.

odejmuje się listki i maluje potrzebne żyłki i cienie. Ten rodzaj malowania jest niezwyczajny ładny i łatwy. Potrzeba bowiem tylko zręczności i wprawnéj ręki przy napryskiwaniu tuszu.

N. 9. Fartuszek z garnirunkiem z ząbków.

Kliniasty 48 cen. długi, wokoło stębnowanym obrąbkiem zakończony fartuszek z białego pół batystu, składa się ze środkowego bryta, 43 cent. u dołu, 14½ cent. u góry szerokiego i z dwóch bocznych klinów 14½ cent. u dołu, 3 cen. u góry szerokich.

Te trzy części krają się z jednego kawałka, obracając przy zszywaniu brzegiem skośnym do prostego. Wkoło zakończony wypustką i w ząb zszyty pasek, służy do wszycia fartuszka i szelek 5 cent. w środku, 2 cent. u dołu szerokich, których długość potrzeba zastosować do wzrostu osoby. Zwyczajne 2½ cent. wysokie, 4 cen. szerokie, ząbki, zakładane jeden w drugi i przystębnowane ½ c. szeroką pliską, stanowią przybranie środkowego bryta i brzegu szelek. Te ostatnie są od środka oszyte pliską, przykrywającą przyszycie trzech pasków 2½ cent. szerokich, łączących z przodu szelki.



N. 10. Fartuszek z plecioneczką w ząbki. Garnirunek ryc. 27 w N. 30 Tyg. Mód.

N. 10. Fartuszek z plecioneczką w ząbki i haftu.

Fartuszek ten z bawełnianego atłasu, odszyty jest z kawałka 54 cen. długiego i zaokrąglonego; u dołu 80 cent. u góry 23 c. szerokiego. Ażurowy garnirunek układa się z plecioneczki w ząbki. Plecionkę naszywa się na tle, przymocowywa za ząbki, odzierguje półkola brzeżne i wycina materjał od spodu. Szelki wcięte na ramionach i wszyte w wązki, prosty pasek, zakończone są drobniejszemi ząbkami. Na paski łączące z przodu szelki, służą wstawki z plecionki, zakończone obrąbkiem z mater-

jału fartuszka. Szarfy do wiązania zakończają się również ząbkami.

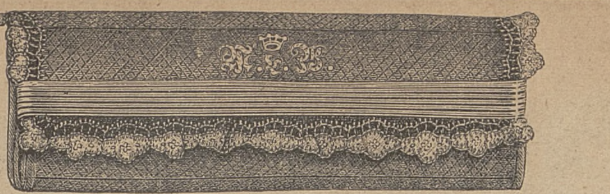
N. 11—12. Marynarski kołnierzyk z krawatką.

Ścieg koronkowy irlandzki i płaska plecionka.

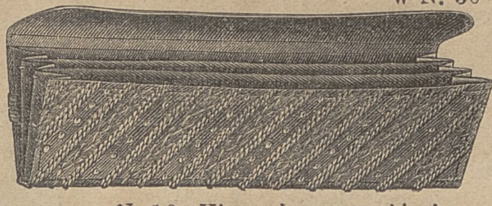
Ryc. 6 dzisiejszego N-u przedstawia ładny kołnierzyk i muślinową krawatkę. We wzorach N. 11 i 12 zasługują na uwagę małe kwiateczki, cerowane cienką we dwoje złożoną bawełną, ładnie odznaczające się na tle przejrzystem.

Szlak brzeżny kołnierzyka, wszyty w muślin, służyć może za mankietki.

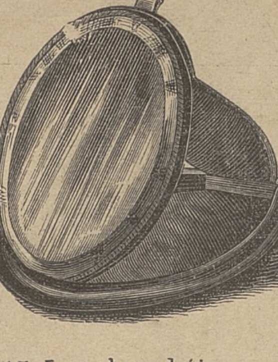
W deseniu można zaprowadzać rozmaite dowolne odmiany, stosownie do osobistego gustu. Deseń na krawatkę, naśladujący piękną, a prawdziwą koronkę, można zastosować w pojedynczych częściach do kokard ze wstążki rypsowej lub też crêpe de chine.



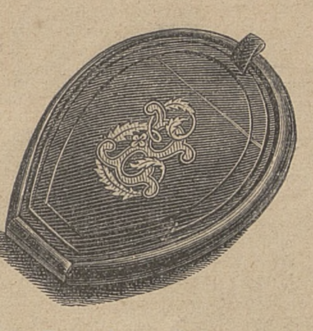
N. 15. Kieszonka na grzebienie. Garnirunek ryc. 29 w N. 30 T. Mód.



N. 16. Kieszonka na grzebienie. Otwarta.



N. 17. Lusterko podróżne. Ustawione.



N. 18. Lusterko podróżne. Zamknięte. Zobacz ryc. 10 i 11 w Tyg. Mód. N. 30



N. 21. Wyjmowanie kubka podróżnego z pudełka.

N. 13—14. Kołnierzyk wykładany i szlak do rękawów.

Wykonanie roboty wskazuje jasny i dokładny rysunek dodamy tylko, że wąski szlak brzeżny przedłużony stosownie, stanowi połączenie obu narożników wszytych w wązką listewkę. Szerokość szlaku do rękawów, musi być zastosowaną do szerokości rękawów od sukni.

boki kieszonki. Do niego przytwierdza się dwa kawałki tektury, pokryte materją, stanowiące przedziały na grzebienie.

Kieszonka zamyka się plecionką gumową $1^1/_2$ cent. szeroką, 20 cent. długą, przytwierdzoną z boków jak to N. 15 przedstawia.

N. 17—18. Zwierciadło podróżne.

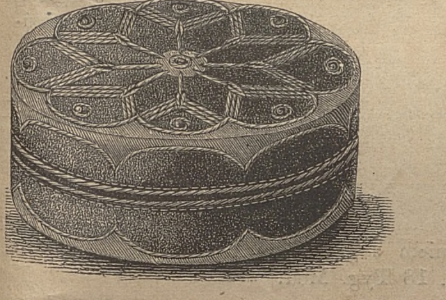
Zewnętrzna strona zwierciadła, powszechnie używanego do drogi, przyozdobiona jest piękną cyfrą, odrobioną złotą nitką i bajorkiem. Takie zwierciadełko z piękną cyfrą służyć może jako ładny podarunek na damską toaletę.

N. 18 przedstawia zwierciadło złożone.

N. 19—21. Podróżny kubek.

Podajemy bardzo dogodne pudełko na kubek podróżny, składany z trzech części przez co nie wiele zajmuje miejsca. Zwierzchnia rozeta na pudełku odrobiona na aksamicie jedwabiem i perełkami, brzegiem przytwierdza się do wierzchu złotym sznureczkiem.

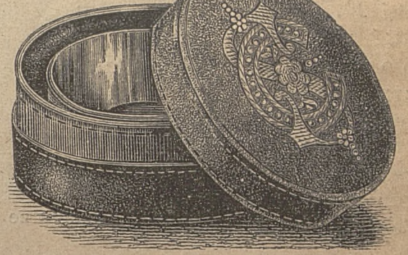
Mając kubek podług gustu dobrany, łatwo bardzo dopasować i futerał. N. 19. podaje pudełko zamknięte z rozetą na wierzchu.



N. 19. Kubek podróżny w zamkniętym pudełku. Zobacz ryc. 9 w Tyg. Mód N. 30.



N. 27. Poduszka podróżna z wałkiem. Zobacz ryciny od 22 do 30.

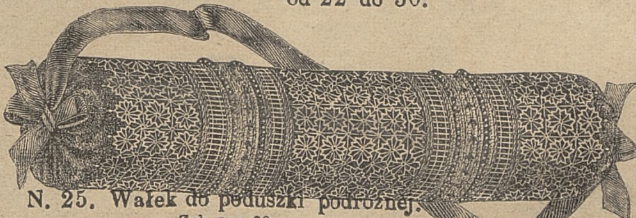


N. 20. Kubek podróżny w otwartym pudełku. Zobacz N. 10 i 11 w Tyg. Mód N. 30.

N. 20 przedstawia futerał otwarty $3^1/_2$ cent. wysoki, przyozdobiony cyfrą haftowaną. N. 21. przedstawia kubek rozsunięty.

N. 15—16. Kieszonka na grzebyk.

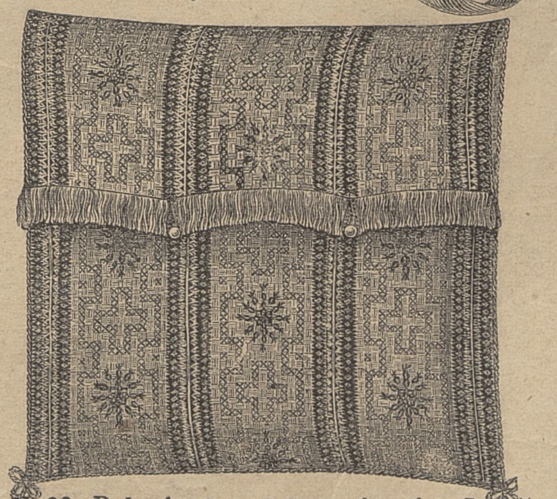
Kieszonka ta jest pokryta popielatą piką, na tekturze $19^1/_2$ cent. wysokiej a 23 c. długiej. Tylko zwierzchnia strona przybrana jest haftem gipiurowym na materji „écru.“ Jako wzór cyfry do wyznaczenia, służyć mogą wzory podane w przeszłych numerach. Otwarty model N. 16 przedstawia na tle „écru,“ wyszycie kręconego sznureczka brązowego jedwabiu, gałązki ściegiem cierniowym i wypukłe punkciki. Podwójnie wzięty skos, 10 cent. szeroki, 6 c. wysoki, założony w fałdy, stanowi



N. 25. Wałek do poduszki podróżnej. Zob. ryc. 26.



N. 26. Tasiemeczka w zęby z robotą szydełkową do poduszki ryc. 25.



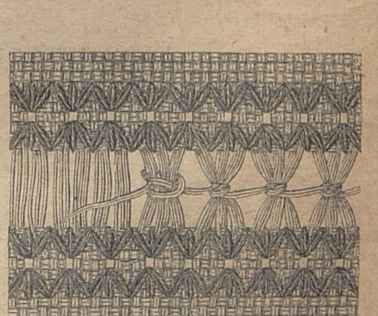
N. 22. Poduszka do podróży na kanwie „Jawa“. Zobacz ryc. 23 i 24.

N. 22—27. Podróżna poduszka wraz z wałkiem.

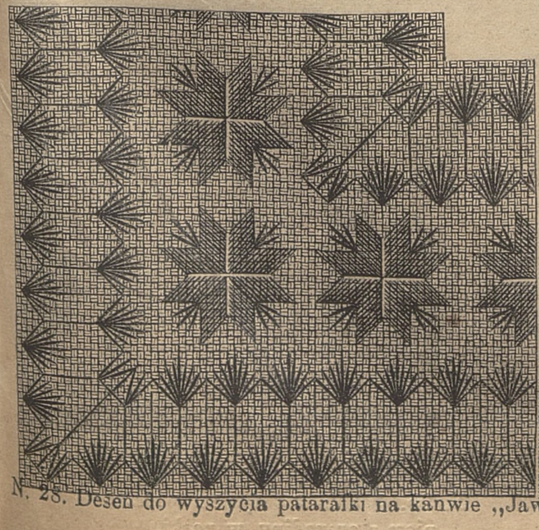
Materjał: kanwa Jawa; włóczka angielska i berlińska w jednym kolorze; podszewka i sznur odpowiedniego koloru; biała bawełniana tasiemeczka w ząbki, bawełna szydełkowa N. 80, estramadura N. 6, filozela ponsowa i zielona.

Tak dla osób słabych jako też i zdrowych podajemy dogodną poduszkę z wałkiem pod głowę.

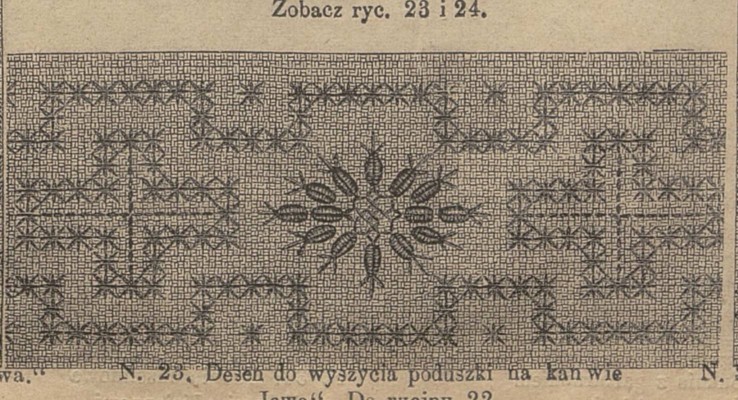
N. 22 przedstawia poduszkę,



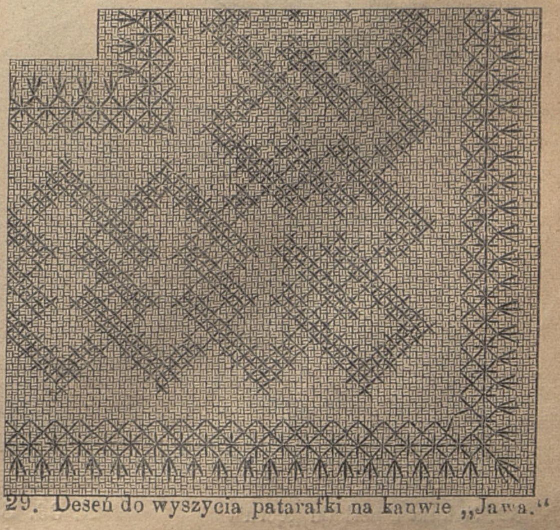
N. 24. Deseń na pasy do poduszki z kanwy „Jawa.“



N. 28. Deseń do wyszycia patarafki na kanwie „Jawa.“



N. 23. Deseń do wyszycia poduszki na kanwie „Jawa“. Do ryciny 22.



N. 29. Deseń do wyszycia patarafki na kanwie „Jawa.“

któréj pokrycie stanowi haft na kanwie Jawa. Brzegi boczne, aż do roztworu przez który zakłada się wałek, zszyte są razem i zakończone oszyciem ze sznura. Frendzla osobno przyszyta, zakończa zapięcie poduszki, jak to wskazuje rycina.

N. 23. Podaje dokładny i wyraźny deseń haftu, na kanwie Jawa ponsowemi kolorami i na takiejże podszewce. N. 24 podaje w naturalnéj wielkości wązki szlaczek, rozdzielający pasy haftu, odrobiony ponsową włóczką, środek zaś z kartki wyciągniętéj kanwy, przewiązywanéj jedną nitką. Dwa ładne wzory do haftu na kanwę Jawa, mogące być zastosowanemi i na pokrycie, podają N. 28 i 29.

N. 27 przedstawia poduszkę z przypiętym już wałkiem. Pokrycie odrobione jest z przystębnowywanych skosów materji, rozdzielanych w podłuż naszytemi pasami, ze wstawki z tasiemeczki w ząbki, łączonéj szydełkiem. Robotę wstawki podaje dokładnie w naturalnéj wielkości N. 26. Także sama wstawka z tasiemeczki stanowi przybranie powleczenia wałka N. 25. Nie przecinając tasiemeczki deseń odrabia się wkoło, na zaczęciu zaś każdego nowego rzędu, potrzeba kilka ząbków zręcznie z sobą zamocować. W szerokim pasie roboty, powtarzają się gwiazdy 8 razy, w węższych bocznych tylko 5 razy.

W pasach między gwiazdami idących, wszyta jest środkiem wstawka na 15 c. szeroka odrobiona z bawełny N. 6 zwykłym, tunetańskim ściegiem, z brzegów zakończona muszkami.



N. 30. Suknia ze stanikiem pod szyję i karoczkiem.



N. 31. Ubranie z okryciem wierzchniem z grenadiny. Krój zobacz rycinę 16 i 17 w N. 18 Tyg. Mód.

Dalszy ciąg opisu dodatku N. 29 nastąpi w N. 30 Tyg. Mód.



N. 32. Suknia z perkalu „écru" dla niedorosłéj panienki.

N. 33. Suknia z garniraukiem muślinowym i haftem.

N. 34. Suknia muślinowa z pliskami płóciennemi.

N. 35. Suknia z okryciem wierzchniem z grenadiny w paski.